Nr. 43. Warszawa, dnia 22 (10) Października 1892 r. Rok XII.

PRAWDA

FILOZOFIA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejs: Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. **k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZATARG Z KOŚCIOŁEM W WĘGRZECH.

Drobny początek nie zawsze oznacza, że drobnym również będzie dalszy ciąg i koniec. Przekonywamy się o tem z zatargu, jaki wybuchł między rządem a duchowieństwem w Węgrzech. Pierwotnie chodziło tylko o zmuszenie księży katolickich do przesyłania pastorom protestanckim metryk dzieci, zrodzonych z małżeństw mieszanych. Sprawa błaha, ani bowiem nie ubliżyłoby to księżom, gdyby ulegli, ani nie zagroziłoby państwu, gdyby nie ustąpili. Obie strony wszakże uparły się przy swoich żądaniach dlatego, że obie chciały walki. Przedewszystkiem zaś chciał jej rząd. Jak wyjaśniliśmy dawniej, parlament węgierski, którego on stanowi wierne odbicie, jest w większości swojej liberalny. Liberalizm to pstrokaty, w niektórych odcieniach mocno zabarwiony konserwatyzmem, ale ostatecznie odstrychnięty od klerykalizmu i mający w sobie dość pierwiastków, niesympatyzujących z przywilejami duchowieństwa. Przywileje te trzymają w rękach księży trzy ważne momenty życia ludzkiego: chrzest (nietylko kościelny, ale także obywatelski), małżeństwo i śmierć. Dopóki te trzy akty pozostają pod przeważną lub wyłączną władzą Kościoła, dopóty posiada on wpływ pierwszorzędny w społeczeństwie. Rzecz naturalna, że węgrzy, których ze szczególną siłą przenika duch państwowości, którzy usuwają starannie nawet pozory krępujące tego ducha, musieli prędzej czy później podważyć monopol kleru. Nie ma bowiem drugiego narodu w Europie, któryby tak był zazdrosnym, jak madziarowie, o swoje własne prawa, któryby tak nie chciał dzielić ich z jakąkolwiek instytucyą, chociażby swojską, ale mającą swój punkt ciężkości po za jego ustrojem politycznym. Duchowieństwo węgierskie nie jest dlań dość spojone z całością państwa, bo w niem stanowi organizacyę niezależną, kierowaną przytem z zewnątrz, z Watykanu, przez kogoś, kto nie nazywa się węgrem. Oni taki tylko Kościół uznaliby za narodowy, któryby nie posiadał głowy za granicą i podlegał we wszystkich swoich czynnościach władzom cywilnym. Nie bezbożność przeto lub wolnomyślność usposabia ich do walki z obecnym, ale duch państwowości, odraza do wszelkich samorządów obok rządu, do wszelkich ciał niezawisłych od ciała, okrywającego szkielet konstytucyi.

Tajemne, drobne starcia trwają oddawna, ale ze skrzesanych przez nie iskier teraz dopiero wybuchł ogień. Minister oświaty, Czaki, zażądał stanowczo od księży katolickich utrzymywania wspomnianego stosunku co do metryk dzieci z małżeństw mieszanych. Księża odmówili a minister pozwolił im domyśleć się, że pójdzie dalej — aż do obowiązkowych ślubów i pogrzebów cywilnych — czyli że państwo owe trzy momenty życia ludzkiego: narodziny, małżeństwo i zgon — weźmie pod swoje skrzydła. Niebezpieczeństwo zaczęło przybierać coraz groźniejszą postać. Wtedy prymas węgierski udał się do cesarza po radę i pomoc. Czy mu monarcha dał pierwszą i przyobiecał drugą — o tem gazety milczą. Wolno nam wszakże z pewnych wiadomych wywnioskować niewiadome. I tak, wiadomo: że Franciszek Józef jest bardzo gorliwym katolikiem i nie radby mieć u siebie nawet złagodzonego „kulturkampfu"; że jednak może z równą obawą strzegłby się rozdrażnienia węgrów; że papież, powodujący się przedewszystkiem względami politycznymi, po zerwaniu przyjaźni z Niemcami i po doświadczeniach we Francyi, nie chciałby wytwarzać sobie przeciwników tam, gdzie miał dotąd sprzymierzeńców. Przy tym składzie okoliczności, usposobień i stosunków osobistych, węgrzy, którzy od ćwierć wieku przeprowadzili wszystko, przy czem się uparli, prawdopodobnie i tym razem zwyciężą cesarza, papieża i duchowieństwo. Zresztą pomoże im do tego sam prymas, „człowiek nowy," „dorobkowicz," a więc nieposiadający tej dumy i twardej zawziętości, jaka zwykle tkwi w „książętach" Kościoła, noszących to miano nie tylko z tytułu swej godności urzędowej. Biskupi a nawet księża go nie lubią i wyrzucają mu miękość w prowadzeniu tej sprawy. Oni by woleli kamienny upór, nieugiętość ze strony przewodnika a prześladowania ze strony rządu. Wtedy bowiem z palmami męczeństwa nawet pokonani zachowaliby urok i odnieśli tryumf wobec swych owieczek. Tymczasem przez proste poddanie się woli ministra na komendę arcybiskupa lub papieża, tracąc przywileje, nie otrzymują w nagrodę aureoli i w oczach społeczeństwa będą upokorzeni, odarci z uroku siły, która według nich i ich owczarni nie ma nad sobą wyższej.

Niedługo zapewne telegraf powie, czy ten nasz wywód jest słuszny, i doniesie nam o dalszym rozwoju walki. Nie sądzimy, ażeby on domysłowi naszemu zaprzeczył. Chociaż wszystko w świecie się powtarza, nic się nie powtarza z tożsamością. W Węgrzech nie ma gruntu dla „kulturkampfu," przytem doświadczenia niemców nie przeminęły bez wpływu na tych, którzy by pod tym względem chcieli naśladować Bismarka. Zatarg kościelny węgierski nie jest zatargiem protestancko-katolickim niemieckim, Czaki nie jest Bismarkiem, a Leon XIII — Piusem IX. Inne czasy, inni ludzie, a więc inne być muszą wypadki.

Z NIEMIEC.

Czego dokonała „era nowa." — Na czem polega istota „kursu nowego." — Rozprzężenie partyjne i umizgi do rządu. — Idea rządu po nad klasami i ostateczne tego następstwa. — „Jeden jedyny!" — Wzrost żywiołów opozycyjnych i pobudka do odwrotu. — Kurs nowy gotów broń złożyć. — Czarny kartel jako sterownik władzy przyszłej.

Panowanie Wilhelma II, jak dotychczas jest pasmem ustawicznych niespodzianek

Zwołanie berlińskiej konferencyi międzynarodowej w sprawie uregulowania prawodawstwa fabrycznego, wydanie reskryptów, zapowiadających gorliwe zajęcie się kwestyą robotniczą, oddalenie wszechwładnego majordomu i zagrodzenie mu drogi do wytworzenia własnej dynastyi, zerwanie z tradycyą niczem nieosłonionego panowania pięści i danie początku „kursowi nowemu," zbliżenie się do żywiołów feodalnych katolickiego centrum dla zatamowania wzbierającego potoku dążności krańcowych i ogłoszenie szkoły wyznaniowej za tamę przeciwko dalszemu jego wylewowi, wreszcie cofnięcie się z tej drogi w chwili ostatecznej, a po nad tem wszystkiem kult kasków, jako opoki porządku społecznego i jako źródła uczuć szlachetnych w człowieku, taka to wiązanka czynów i usiłowań, spojonych pozornie z sobą a niekiedy nawet nieoczekiwanych, składa się na treść „nowej epoki." Liczy ona już kilka lat życia. Z zupełną słusznością możemy teraz rozejrzeć się w jej pstrym i różnobarwnym całokształcie i uczynić próbę pochwycenia nici przewodniej. Dokąd płynie statek państwowy niemiecki, puszczony na wody pod hasłem „kursu nowego" i wogóle czy ma jakąś drogę wytkniętą? Czem on jest w gruncie rzeczy, o ile zasługuje na miano nowego i czy długo jeszcze trwać będzie? Czy „mały Wilhelm," jak wrzeszczała ciżba, osuszająca kufle podczas hołdów, które oddawała „wielkiemu Ottonowi" przed kilku miesiącami, rzeczywiście prowadzi nawę państwową gdzieś na skały a straszne rozbicie będzie ostatecznym wynikiem tej awantury?

Zanim odpowiemy na postawione powyżej pytania, winniśmy uprzednio wskazać dwa rysy, rzucające się w oczy każdemu, kto bliżej wejrzy w życie wewnętrzno - polityczne Niemiec. Z jednej strony spostrzegamy tu pewną nieokreśloność w położeniu wzajemnem stronnictw, z drugiej zaś niepodobna nie dojrzeć odosobnionego stanowiska rządu w społeczeństwie. Niemcy są państwem konstytucyjnem a rząd, dla przeprowadzenia swoich projektów, winien posiadać w sejmie pewną większość, która głosowałaby za wnioskami. Za czasów Bismarka większość ta polegała na kartelu politycznym, bądź milczącym, bądź znowu wyraźnie zawartym, pomiędzy żywiołami junkierskimi różnego pokroju i nazwy, o ile stały one na gruncie tradycyi hohezonzollernskiej, a wielkoprzemysłowymi, złączonymi w partyę narodowo-liberalną. Cała Bismarkowska polityka wewnętrzna, pełna gwałtu i ucisku w każdym kierunku życia społecznego, opierała się właśnie na tym sojuszu, zwłaszcza zaś narodowo-liberalni stanowili wierną drużynę mameluków, gotową na skinienie „wodza Niemców" rzucić się w ogień bezprawia i nawet wydać z siebie filozofów w rodzaju Hartmanna. Różne „kulturkampfy," rugi, prawa wyjątkowe, pogwałcenie wolności wyborczej w r. 1887, zagłosowanie uciążliwego siedmiolecia wojskowego, wszystko to zostało dokonane przy pomocy tego orszaku, który, rozumie się, sławiąc jakąś „ideę," umiał pamiętać o swojem grzesznem ciele i wzamian za swoje usługi katów i siepaczy sejmowych zamieniał maszynę państwową na narzędzie do obrabiania swoich interesów. System ceł, zarówno w zakresie wyrobów fabrycznych codziennej potrzeby, jako i rolnych, uzupełniony premiami wywozowemi, jest ostatecznym haraczem, jaki otrzymali godni siebie towarzysze kartelowi z tego stanu rzeczy. Po objęciu steru rządów przez Wilhelma II położenie się zmienia. Polityka wewnętrzna zaczyna iść nieco odmienną drogą. Nie zrywa ona z dawnymi sterownikami, atoli daje im uczuć, że zbrakło starego opiekuna. Proces, wytoczony firmie Baare za nadużycia przy dostawie szyn, który dawniej nie wyszedłby na światło dzienne, pewne obcięcie ceł zbożowych i zmiana w postępowaniu z funduszem welfów, wszystko to dało poznać sprzymierzonym przedstawicielom wielkiej renty ziemskiej i wielkiego kapitału przemysłowego, że era, kiedy Bleichröder mimo krzywoprzysięstwa został uwolniony od odpowiedzialności, kiedy wyznawca narodowo-liberalizmu występował jako zbawca ojczyzny, a junkier robił spekulacye na głodzie ludu, że era ta minęła z upadkiem władzy majordomu. Zarówno ziemianie, jak i narodowo-liberalni zostali odstrychnięci — nie znaczy to bynajmniej, ażeby byli odsunięci od władzy, gdyż i dzisiaj są wciąż głównymi filarami rządu, ale pozbawiono ich dotychczasowego nadużywania dla swoich celów maszyny państwowej. „Agrarczycy" znoszą ten stan rzeczy z bólem serca, ale jednocześnie bez sarkania poważniejszego. Inaczej zachowują się grupy narodowo-liberalne, zwłaszcza wśród odłamu, złożonego z pismaków i pieczeniarzy, którzy odrazu i najnamacalniej poczuli zmianę stosunków. Ruchliwsze, bo zrodzone i wychowane w mieście, w tradycyi zabierania głosu, poczynają one sobie zgoła odmiennie. Z pośród nich to płyną fundusze na podtrzymanie prasy Bismarkowskiej, one to stanowią ową rzeszę, która z po za stosów butelek wina, koniaku i piwa urządzała swemu wodzowi owacye czerwcowe i lipcowe, usiłowała zastraszyć rząd dzisiejszy i zmusić do cofnięcia się z drogi „nowego kursu." Wraz z obcięciem kąska, pożeranego przez kartel przemysłowo-ziemiański, poczyniono niejakie ulgi i ustępstwa innym partyom; ten dostał to, inny — owo. Przedewszystkiem zaś wyrzucono z języka urzędowego ów termin „wrogów państwa," którym ex-majordom chłostał każdego, sobie nieprzychylnego; co więcej, zaczęto oczkować z niektórymi. W rezultacie powstał nieład nie do opisania. Była chwila, a poniekąd trwa ona do dnia dzisiejszego, kiedy sądzono, że narodowo-liberalni przedstawiciele wielkiego przemysłu zostaną zupełnie odprawieni a miejsce ich zajmie prześladowane dotychczas przez „wielkiego Ottona" centrum katolickie. Jeszcze przed kilku tygodniami w dziennikach rządowych kokietowano centrum, a organy feodalne pruskie rozprawiały bardzo poważnie o kartelu feodalnym pomiędzy junkrami pruskimi a nadreńskimi. Samo centrum swojem postępowaniem świadczy, że podziela te nadzieje, a mnostwem czynów dowiodło, że dorosło do tego zadania, że stało się zarówno *regierungs*, jak i *hof-fähig*. Narodowo-liberalizm, zagrożony utratą swojej synekury, przypomniał sobie, że posiada bliskich krewniaków — wolnomyślnych, którzy bronią interesów drobnego kapitału, zwłaszcza kramarskiego. Za Bismarka grupa ta, osłabiona przez prąd społeczno-demokratyczny, uchodziła za wrogów państwa. Otóż narodowo-liberalni zaczynają jej kłaść do uszów kazanie, że swojem „lekkomyślnem" postępowaniem gubi jedynie wspólną sprawę liberalizmu, że gdyby mniej krzyczała i połączyła się z nimi, może żywioły feodalne zostałyby odsunięte od władzy, która nie-

---

22)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

XXX.

(Chrystyania, wrzesień).

Byliśmy dziś u Jonatana, rozprawialiśmy przez cały czas.

Mówiłem o najnowszej literaturze francuskiej i broniłem jej. Jonatan zna ten kierunek tylko z artykułów w angielskich *Reviews*; oświadczał się jednak z sądem gotowym i nie szczędził efektów. „Te słodkawo-letnie, mglisto-szaro niewieściuchy, robiące dziś w Paryżu literaturę itd. — przybrały nazwę godną ich wartości: dekadenci, poeci upadku, spadku, butwienia. To początek zaniku burżuazyi. Nie wierzą już w nic, nic ich nie zajmuje, nie mają siły trzymać się czegoś; nic pozostaje im więc nic, chyba przyglądanie się własnym zmęczonym uczuciom póty, aż z nich wycięgną kawałki literatury.... Naturalista wobec nich jest uosobieniem zdrowiem; kreślił zimno, po pańsku i bez lamentu — i bez kokieteryi — obraz świata taki, jaki mu się przedstawiał, taki, jaki widział: czarny albo czerwony. Prawda, że i to może być bez życia, niesubjektywne—prawda; ale w każdym razie naturalista jest arystokratą w stosunku do tych *self-abusers* najnowszej daty.

Dr. Kwaale wzruszył ramionami i rzekł, że ta nowa głupota jest równie zła, jak dawna.

— Śmieszna to myśl chcieć odtworzyć rzeczywistość; jest to tak niemożebne, że każdy uczciwy naturalista sam sobie powiedzieć to musi; zaś „odtwarzać uczucia własne" — to już chyba najczystsza sprzeczność. Z chwilą, kiedy uczucie przeszło granicę świadomości i przybrane zostało w mowę, przestaje być uczuciem; staje się myślą; uczuć wyrażać niepodobna — chyba za pomocą muzyki. Uczucie jest przecież odruchem duszy, nieposiadającym jeszcze formy żadnej; skoro się chce go w słowach wyrazić, to słowa te będą co najwyżej mędrkowaniem o uczuciach, lecz nie, u kata, samem uczuciem; odtwarzać uczucia — to rzecz raz na zawsze niemożliwa.

— Naturaliści nigdy nie usiłowali odtworzyć rzeczywistości — twierdził Jonatan; chcieli tylko, jak wogóle poeci całego świata, odtworzyć obraz świata, żyjący w ich świadomości — to zaś jest możliwe. Lecz skoro ludzie wewnętrznie miękną tak, że nie są w stanie zatrzymać w sobie jakiegokolwiek obrazu świata, natenczas zaczynają szukać we wnętrznościach swoich nastrojów i wrażeń, które następnie przedstawiają w możliwie robionej a niemożliwej mowie; to zaś nazywa się *décadence*, w wolnem tłomaczeniu: zgnilizna. Cała ta historya skończy się zresztą sama przez się, ostatecznie bowiem poeci, pełni wstrętu, siądą i plunią na własne swoje rękopisy.

Rzekłem, że mylą się obaj co do istoty przedmiotu.

— Znajdujemy się w chwili zupełnego przewrotu całego naszego na świat poglądu. Naturaliści i materyaliści stawiają „naturę" na pierwszem miejscu, duszę zaś uważają za rzecz pochodną; „indywidualność jest wytworem pewnego otoczenia"; dzisiaj świat powraca do poglądu więcej arystokratycznego: *ja* — stoi na pierwszem miejscu, zaś tak zwana objektywność jest tylko treścią tego *ja*; literatura staje się tedy psychologiczną, subjektywną, maluje stany psychiczne jako takie, zamiast przedstawiać je jako wytwory pewnych okoliczności zewnętrznych itd.

Na to wszystko Jonatan odpowiedział powierzchowną uwagą: francuzi tłomaczą dziś Hegla i Schopenhauera, podobnie jak w zeszłych stuleciach tłomaczyli Hume'a i Locke'a; ci gallowie — to rasa bez zdolności.

Nie znam nic równie niearystycznego, jak ci wykochani paryżanie, te niewieściuchy, leżące po wszystkich drogach i jęczące: „hélas, tacyśmy nieszczęśliwi! hélas, czem jest życie? hélas, upijmy się!"

Zadzwonił; służąca przez drzwi wsunęła głowę.

— Podaj mi grogi rozkazał — poglądowo.

Nie chciało mi się już odpowiadać. Nagle uczułem taką przepaść między tymi ludźmi a sobą, że o dyskusyi mowy być nie mogło.

podzielnie znalazłaby się w ręku liberalnem. Doszło do tego, że nawet wśród demokracyi społecznej v. Vollmar jął warcholić na temat kokietowania z „kursem nowym,“ dowodząc, że kto dał, to dał, byleby dał i że za to należy stanąć przy nim. Naturalnie v. Vollmar byłby wielkim wezyrem takiego stanu rzeczy i kierowałby mamelukami nowego pokroju. Taki to obraz majaczył, zdaje się, w umyśle tego ex-żuawa papieskiego. Słowem, na całej linii niemieckich partyj politycznych odbywa się kokietowanie wzajemne i błyskają różne nadzieje. Atoli z tem rozprzężeniem, zresztą bardziej pozornem, niż rzeczywistem, łączy się inna sprawa — odosobnienia rządu. „Jeden jedyny,“ tak można, chociaż z pewnem zastrzeżeniem, powiedzieć o Wilhelmie II. Życie wychłostało w sposób stanowczy złudną jego nadzieję, że rząd niemiecki może unosić się po nad partyami, równomiernie popierając wszelkie interesy społeczne. Idea ta tuła się oddawna po głowach niemieckich teoretyków prawa państwowego a wylęgła się w ciszy gabinetów i bibliotek, gdzie mól uczony pożerał książki i reformował świat, nie pytając życia, czy te teorye „syntetyczne,“ ulepione ze zgody poglądów sprzecznych, przystają do jego wymagań. Ex-majordom, chociaż w potrzebie posługiwał się chętnie temi zdobyczami móla bibliotecznego, zbyt znał rzeczywistość, ażeby wierzył we własne słowa — pod maską równomiernego popierania wszystkich interesów coraz silniej zaciskał on szrubę, wyżymającą z kraju soki na rzecz junkrów i wielkich przemysłowców. Tymczasem Wilhelm II zaufał „syntetykom.“ A wszystkie jego niekonsekwencye, reformy, cofnięcia się, zrozumiemy, skoro właśnie staniemy na gruncie poglądu, że rząd niemiecki, będący upostaciowaniem *Vaterlandu*, winien unosić się po nad klasami nie pozwolić jednej korzystać z innych, powstrzymywać wygórowane pożądania każdej, a jednocześnie bronić istnienia wszelkiej. Rozumie się, że teorye swoje zapragnął natchnąć życiem: obcinać przywileje faktyczne i obdarzać wszystkich poparciem równomiernem. Ostatatecznie nikogo nie zadowolił a wszystkich zraził przeciwko sobie. Rozpoczął od warstwy robotniczej, której obiecywał niemal złote góry. Tymczasem z tych gór urodziły się myszy. Konferencya berlińska narobiła wielkiej wrzawy, ale po za tem nie wydała żadnego owocu. Słynne reskrypty zrodziły nowele przemysłową, już bardzo skromnie przykrojoną przez Radę związkową, jeszcze bardziej obciętą przez grupy kapitalistyczne i obywatelsko-ziemskie podczas rozpraw w sejmie niemieckim. Nawet najlojalniejsze dotychczas odłamy warstwy robotniczej rozczarowały się tak lichym wynikiem obietnic, a pewna swoboda, którą uowy kurs rozszerzył, a teraz zwęża bardzo niezręcznie, sprawiła jedynie, że owo rozczarowanie ujawniło się publicznie i już dzisiaj przeszło w namiętne rozjątrzenie, które zdradza się w niesłychanem mnóstwie spraw o obrazę majestatu. Jednocześnie nowela przemysłowa, niezaspakajając jednych, obraziła silnie interesy innej warstwy społecznej — drobnego kramarstwa swoimi paragrafami, nakazującymi święcenie niedzieli w handlu. Dzisiaj całe Niemcy podnoszą protesty z tego powodu, a wolnomyślni, będący rzecznikami politycznymi interesów dromnomieszczańskich, wyzyskują ów nastrój. Również znikome zmniejszenie opłaty celnej zbożowej nie dało ludowi tańszego chleba i znowu zawiodło pokładane w „kursie nowym“ nadzieje, a jednocześnie, nie wiele ujmując junkrom, zrodziło wśród nich nieufność. Procesy przeciwko wielkim przemysłowcom o nadużycia nie zniosły spiskowania z ich strony, co więcej były raczej próbą uniewinnienia różnych fałszerzów od miotanych na nich podejrzeń, lecz swoją drogą pozostawiły niepokój i rozjątrzenie, które złożyły się na czerwcowe *pronunciamento* filistrów narodowo-liberalnych. Ale chyba trudniej o lepszy wzorek nad sprawę ustawy szkolnej. Chciano między innemi za jej pomocą zaspokoić i udobruchać centrum. Wniesiono ją przeto do sejmu, ale kiedy zbyt silny krzyk powstał ze strony opozycyi, cofnięto. Może to świadczy dodatnio o chęci uwzględnienia wszelkich głosów, lecz ze stanowiska politycznego jest krokiem chybionym. Podniesiono apetyt centrum, ale nie zaspokojono go, a jednocześnie rozjątrzono odłamy liberalne. Z tych wahań wyszła na jaw cała niestanowczość rządu.

A zatem, jak dotychczas statek państwowy niemiecki płynie śród chaosu wewnętrzno-politycznego. Nadzieja owładnięcia sterem rządów zrodziła oportunizm partyjny i z nim rozprzężenie zasad, a chęć unoszenia się po nad klasami pozbawiła władzę dawnych, wypróbowanych mameluków i nie dała nowych. Wprowadzone swobody dały niejasnemu, żywiołowemu "niezadowoleniu możność skrystalizowania się świadomego. Ludzie, dobrze obeznani z położeniem wewnętrznem Niemiec od kilku dziesiątków lat, zapewniają, że krótkie panowanie Wilhelma II przyczyniło się bardziej do podkopania powagi rządu, a wzmocnienia w kraju przewrotowego fermentu, aniżeli długie jego dziada. Jeszcze lat kilka a starego pokroju niemiec nie pozna swego *Vaterlandu*, niegdyś tak lojalnego.

Atoli nie myślmy, ażeby okręt państwowy niemiecki płynął dotychczas bez celu żadnego. Wilhelm II jest może pierwszym monarchą, który świadomie przejął się „ideą hohenzollernską,“ odkrytą przez płatnych urzędników od pisania dzieł historycznych, a polegającą między innemi na dążności wtłoczenia społeczeństwa w koszary. To skłaniało go oddawna, że ciąży do grup, które, jak junkrzy, widzieli w militaryzmie źródło utrzymania lub, jak wielcy przemysłowcy, podwalinę porządku. To też rząd niemiecki, lubo obrażał interesy tych warstw w drobnych rzeczach, w wielkich szedł za ich głosem, a owo odosobnienie, o którem wspominaliśmy, w gruncie rzeczy było bardziej pozornem, niż istotnem. Dzisiaj cel ów staje się szerszym. Rozprzężenie powagi w Niemczech posunęło się daleko, a ruchy krańcowe z miast przedostają się na wieś i do koszar. To też na całej linii zachowawczej słyszymy pobudkę do odwrotu. Mówi się nawet o cofnięciu prawa głosowania powszechnego, o konieczności wznowienia dawnych kagańców. Ustawa szkolna była nie tylko ustępstwem dla centrum, ale próbą zrobienia ze szkoły tamy przeciwko wylewowi wewnętrznemu, a Wilhelm II z właściwą mu otwartością wskazał wojsku możność walki z berlińczykami. Jak widzimy zatem, załoga okrętu myśli o zdarciu bandery, pod którą płynęła lat kilka. Naturalne że wznowieniem starego kursu wrócą dawni sternicy, jeżeli tylko Wilhelm II nie pójdzie dalej i nie weźmie protestanckich muckerów i junkrów do spółki z sutannami jezu-

---

Smutne a zarazem przyjemne uczucie. Nagle ujrzałem w nich wcielenie czasu, który obecnie pokonywać właśnie zaczynamy — podczas gdy sam czułem się zbratanym z przyszłością.

XXXI.

(15 października).

Ani rusz. Tu w mieście człowiek mimowoli wraca do dawnych swoich nawyknień. I brzydną mu, i staje się chorym, tępym.

Przemocą zerwę ze wszystkiem. Jednym zamachem zrzucę z siebie te nawyknienia. Zawsze bywać pokonywanym — to w końcu gniewa. Nawyknienia tragarskie — nie dla mnie.

Czeka mnie mała walka. Lecz i ta walka ma ciekawą stronę. Ucieszę się, dowiódłszy sam sobie, że mam jeszcze wolę. Zabieram się do rzeczy z pewnem zadowoleniem. W każdym razie — odmiana.

Właściwie niewiele poświęcam. Co za pomocą alkoholu osiągnąć chciałem: zapomnienie, spokój zmysłów — tego już nie osiągnę, przeciwnie. Tylko więcej jeszcze niepokoju, więcej lęku. Te smukłe butelki z czerwonawo-złotemi etykietami zaczynały mi być w ostatnich czasach przedmiotem rozpaczy: wyzierała z nich śmierć złowroga, tajemnicza potęga, która chciała schwycić mnie, uwikłać w swoje sieci. Idzie więc tylko o to, aby rzucić głupie przyzwyczajenie, które właściwie — nudzi mnie.

Za miesiąc wszystko będzie jasne; przyzwyczaję się do innego życia, odzyskam wolność. Do owego więc czasu surowa dyeta.

* * *

(31 października).

Idzie doskonale. Samowiedza przybiera. Apetyt — lepszy, sen — normalny.

Obcuję przeważnie z dr. Kwaale, który dla siebie samego też „trzyma się dyety.“ Coraz więcej kocham tego człowieka. Lecz jeszcze nie mam o nim jasnego sądu.

Siedząc właśnie w Grandzie, zapijam moją kawę bez „avec“ i z pewną litością spoglądam na tych „germanów.“ Nędzne to, niedołężne: nie umie stać prosto, bez uprzedniego paraliżowania się. Gąbkowate, pofałdowane, nawpół oszołomione siedzi to i czuje odrazę i staje się do „ludzi“ podobnem dopiero wtedy, kiedy wzniosło się do stanu pijanego. Brr!

Czuję ową tępość, ów senno-mglisty ucisk, ciążący na ich mózgach, póki szum głowy nie ogarnie i system nerwowy konwulsyjnie funkcyonować nie zacznie. Wstrętem mnie to przejmuje. Nie nalożę już do tej kliki.

A jednak nie zupełnie jeszcze wypłynąłem. Spostrzegam to zwłaszcza wtedy, kiedy przebywam w domu; brak szklanki lub fajki daje mi się we znaki; nie mogę pracować. Co chwila mimowoli dochodzę do pewnej szafki... potrzebuję czegoś, brak mi czegoś; całej mojej istocie brak czegoś... tak we mnie sucho; jakiś żar wewnętrzny, który domaga się ugaszenia. Jest to uczucie prawie takie, jak pragnienie w czasie snu... Nagle przypominam sobie... i staję, nędzny, bezsilny.

Lecz po kilku miesiącach kuracya będzie skończona. Natenczas będę wolnym człowiekiem, skoro zechcę, będę mógł znowu wziąć trochę likieru do kawy.

* * *

U Jonatana byłem dziś na kawie. Kiedy wniesiono likier, Kwaale rzekł:

— Sami się dziś z tem uporać musicie. Gram i ja wzięliśmy na cnotę.

Jonatan kazał zabrać likier.

— Piłem przecież tylko dlatego, aby wam dotrzymać towarzystwa— powiedział.

Potem na nutę optymizmu zaczął wywodzić długie tyrady.

— Bojaźń życiowa? — to tylko histerya. Choroba mlecza pacierzowego. O jakiej mówicie przepaści? O przepaści, w którą nie śmiecie spojrzeć otwartemi oczami?... Czytaliście za dużo dekadentów, Gram. Niema przepaści. Poświadcza to Jerzy Jonatan.

— Wielka tajemnica nie jest straszna, jest piękna. Właśnie samo życie, siejąc wszędzie... silne blaski słoneczne, poprzez nie głębiej wejrzeć nam nie pozwala. A człowiek chory tak długo patrzeć może w punkt świecący, póki nie podlegnie hypnozie: natenczas sądzi, że patrzy w przepaść.

— Jedynie brzydką w życiu jest śmierć. Długie, okrutne męki; w końcu konwulsye, piana na ustach, wymioty, pot zimny, przykra woń; potem człowiek wyciąga się, idyo-

ickiemi i barwami nadreńskiemi z pośród centrum.

K. R. Ż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nie wiadomo, czy ideologia młodo-czechów jest naiwnie szczera, czy też przebiegle udana, dość że oni ciągle stawiają żądania, które spełnione być nie mogą lub też wnoszą projekty, o których rzeczywistość nawet słyszeć nie chce. Od nich to wyszedł pomysł zwołania w listopadzie do Wiednia wiecu przedstawicieli wszystkich narodowości, składających dziedzictwo Habsburgów. Sam wiec nie byłby niczem nadzwyczajnem, ale nad czem ma on obradować i co uchwalić! 1) Zamienienie Austro-Węgier na monarchię federacyjną, obejmującą związek państw udzielnych; 2) ustanowienie w Wiedniu stałej komisyi reprezentacyjnej z władzą wykonawczą; 3) zapewnienie każdej narodowości osobnego parlamentu itd. Słowem, zupełne rozprucie, przykrojenie i zszycie Austro-Węgier według całkiem innego wzoru. Szczyt naiwności mieści się w tym punkcie programu, który zapowiada, że delegaci udadzą się do cesarza z prośbą, ażeby te ich uchwały wprowadził w życie. Można być pewnym, że hr. Taaffe oszczędzi trudu i kłopotów zarówno delegatom, jak cesarzowi.

Podczas dalszych obrad w delegacyach, poseł młodo-czeski Eim atakował kilkakrotnie rząd, dowodząc, że trójprzymierze przynosi państwu tylko szkody i że Austrya powinna się zwrócić do Rosyi. Hr. Kalnoky odpierał te zarzuty, uwydatniając pokojowy charakter troistego sojuszu. My nigdy — rzekł on — Rosyi nie napadniemy.

Dziennik francuski *Siècle* domaga się ogłoszenia kontraktu spółki trójprzymierzowej, gdyż przypuszcza, że w nim są zastrzeżone nabytki dla Włoch kosztem Francyi (Nizza, Sabaudya, Korsyka). Dopóki to ogłoszenie nie nastąpi, żaden minister francuski nie może—według *Siècle'a*—robić Włochom ustępstw w sprawach handlowych.

W Carmeaux górnicy zbuntowali się przeciwko zarządowi kopalni, a wybuch nienawiści przybrał tak groźne rozmiary, że musiano sprowadzić wojsko. Prezesowi gabinetu francuskiego wszakże zależało na tem, ażeby szybko stłumić wrzenie środkami łagodnymi, zanim Izba zainterpeluje go w tym przedmiocie. Jakoż zapytany przez nią odpowiedział, że robotnicy i właściciele kopalń zdali się na jego sąd rozjemczy.

Magyar Allam, organ partyi katolickomagnackiej, wystąpił bardzo ostro przeciwko ministrom liberalnym, pragnącym zmusić kościół do uległości w sprawie aktów stanu cywilnego. Jednocześnie wszakże telegraf donosi, że rada ministrów pod przewodnictwem cesarza postanowiła utrzymać w całej mocy wymagania rządu.

Między Grecyą a Rumunią nastąpiło zupełne zerwanie stosunków dyplomatycznych z powodu, niemającego żadnej łączności z dyplomacyą. Kłótnię sprowadziła niezgoda o to, jakie sądy (rumuńskie, czy greckie) mają uregulować spadek po niejakim Zappym, który posiadał nieruchomości w Rumunii, a umarł w Grecyi.

Cesarz niemiecki podpisał ostatecznie projekt reformy wojskowej, a raczej żądanie podwyżki wydatków na armię. Znowu ta podwyżka skurczyła się do 50 milionów marek. Przez zasłonę tajemnicy nie przeniknęły dotąd szczegóły projektu, ale przeniknęła pewność, że długo nad nim rozmyślano, rozprawiano, wahano się, zanim wyszedł z urzędu kanclerskiego i stanął przed Radą związkową. *Germania* w imieniu katolików zapowiada opozycyę w parlamencie, co równałoby się porażce rządu. Ale od czasu Windhorsta nie należy gróźb centrum brać tragicznie, bo one tylko znaczą, że zastęp hr. Balestrema pragnie być za swe głosy wynagrodzony i darmo ich nie odda.

Na Krecie rozruchy nie uspokoiły się. Grecy z bronią w ręku domagają się powrotu wygnańców.

Z Zagrzebia wysłano do papieża adres, opatrzony tysiącami podpisów i proszący o zamianowanie arcybiskupem kanonika Wutekicza.

Zwołana na 13 listopada skupczyna serbska ma tylko zatwierdzić traktat handlowy z Austryą i zaraz będzie rozwiązana, ażeby nie dać sposobności radykałom do robienia awantur. Znajdą sobie inną.

BADANIA NAUKOWE.

RUDOLF JHERING.

(1818—1892).

W Grecyi starożytnej prócz wielkich olimpijczyków w obłoki spowitych, prócz wielkich herojów o wpływie dalekim, panhelleńskim, istniały rozsiane po gajach, nad rzekami, w dolinach górskich, bóstwa miejscowe, istniał kult bohaterów „parafialnych" nie tylo może uroczysty, równie jednak ważny i w życiu narodu znaczący. W wielkiej świątyni prócz głównego ołtarza znajdujemy mniejsze, nieco na uboczu stojące i nieco przez ogół ignorowane.

I wiedza w niezmierzonym swym obszarze, prócz Olimpu, posiada świętych miejscowych, a w świątyni swej prócz wielkiego ołtarza, do którego dopuszczani bywają wszyscy bez różnicy wyznawanych prawd, ma swe małe, równie może piękne, choć mniejsze i nieimponujące herbem i przepychem ozdób. Nie składają się na nie cegiełki z najdroższych kamieni i kryształów, różnobarwne i różnolite, ale pojedyncze kamyczki osobnej barwy i formy. I na tych jednak ołtarzach rozpala Geniusz ludzki mniej lub więcej trwałe światło rozmaitych kolorów: raz będzie to krwawy czerwień męczeństwa, to znowu zieleń utopijnej nadziei, to wreszcie zaczerni się lampka cmentarnych przepowiedni. Najczęściej zaś na szarem tle życiowem zajaśnieje niedostrzegalnym przebłyskiem innej może, jaśniejszej, ale zawsze podobnej szarzyzny. Zwykle zaś tylko wybrani pod znakiem swego zawodu dostrzegają zazwyczaj, że światełko takie zagasło.

Kiedy w drugiej połowie września fakultet prawny Georgiae Augustae w Getyndze utracił profesora prawa rzymskiego, wzruszyła się cała opinia publiczna w Niemczech grozą i żalem. Wszystkie bez wyjątku dzienniki zaczerniły się od krzyżów, wspomnień i psalmów żałobnych. Może więc i czytelnicy *Prawdy* pozwolą, ażebym im nakreślił portret Rudolfa Jheringa (czyt. Jering). Uprzedzam atoli z góry, że nie piszę żadnego na modłę niemiecką

---

tycznie spogląda przed siebie, głowę zakopując w poduszkach. A potem leży i wytrzeszcza oczy. Coś podobnego wcale nie jest dla ludzi.

— Czy podobna wystawić sobie coś więcej niezaradnego, głupiego, aniżeli wyczekiwanie tej wstrętnej śmierci przez cały czas życia? Czy nie lepiej wziąć śmierć na własną rękę i urządzić ją sobie po ludzku, *comfortable?* Śmierć bowiem wcale nie musi być tak brzydka. Należy tylko zająć się energicznie i urządzić ją sobie rozumnie; natenczas z większem prawem, aniżeli apostoł, będziemy mogli powiedzieć: Śmierci, gdzie jest twoje żądło? — itd.

I obaj ci nowocześnicy zasiedli sobie i zaczęli roztrząsać pytanie, w jaki sposób należałoby „urządzić" śmierć. Zresztą—nie głupie. Lecz ja nie przyjmowałem w tem udziału. Czasem jestem pastwą halucynacyj; ot np. stylowy serwis do likieru, własność Jerzego Jonatana, straszy mnie wciąż tak, jak owa naga piękność — św. Augustyna. A dusza moja jest jednem, suchem, popękanem uczuciem pragnienia...

* * *

Jonatan chce zostać redaktorem.

— Obecnie pozycya moja jest tak ustalona — powiada — że mogę się zabrać do założenia fundamentów.

Wzruszyłem ramionami.

— *Coś* człowiek czynić musi — powiada. Nie mogę przecież, jak francuz, chodzić i zdobywać wciąż serca kobiece!

Leżał na mojej kołysance i wyglądał bardzo poważnie.

— Serca kobiece lub serca wyborców — mruknąłem.

— *Well* — każdy wedle swego gustu; szaleństwo moje polega na tem, że chcę mieć własną armię, której będę przodował. Nadto mam manię wielkości; nie mogę spać spokojnie, póki nie zbawiłem świata.

— Jeżeli pismo to ma być wyrazem prywatnych zasad pańskich, to doprawdy nie zbierzesz po sobie hufca!

— Prywatne moje zasady? Chyba pan nie przypuszczasz, że chcę być męczennikiem?

— O, proszę, dla męczenników — wszelki szacunek.

— Tak, o tyle, o ile jedna jakaś niedorzeczność sama w sobie takie samo ma prawo bytu, jak inna; lecz męczennicy, w moich oczach, posiadają za mało wyższości. Nie umieć trzymać języka za zębami, przy każdej sposobności absolutnie wygadać całą prawdę — to postępowanie chłopięce. Po co to? Wiemy raz na zawsze, że każda prawda przyjmuje się dopiero po stu latach; więc należy się z tem pogodzić, języka strzedz, złożyć prawdę w jakiemkolwiek genialnem, pośmiertnem dziele i tym sposobem uniknąć niepowodzenia, niesmaku, zwanego męczeństwem. Nie twierdzę, jakobym ja sam potajemnie nad dziełem takiem pracował; powiadam tylko, że póki żyję, używać chcę dobra a jednak prawdzie i postępowi oddam tyleż usług, ile oddajo im kilku pospolitych osłów-męczenników.

— *C'est possible.*

— Pismo moje będzie naturalnie organem konserwatywnym — albo może liberalnym — albo czemś w tym rodzaju, czemś, co najwięcej znajdzie oddźwięku. Pustemi beczkami dnia narobię tyle wrzawy, że ludzie z podziwu przewracać będą kozły. A jednak tą drogą bardzo łatwo podkopać dziecinną wiarę i — cnotę.

— Nadzwyczaj przebiegle.

— Skoro się chce przez Alpy jechać koleją, należy przekopać tunele. Skoro się chce zbierać wokoło siebie ludzi, należy powiewać ideami z 1789 r., które dziś są już dostatecznie stare. Jednocześnie pocichutku kopie się tunel — w przyszłości. Pojmuje pan?

— Tak.

— Przyłącza się pan?

— Ja? A cóż ja przy tem robić będę?

— Dr. Kwaale redaguje dział naukowy, panu oddamy sztukę.

— Tak? Ale ja jestem heretykiem.

— Masz pan pewną słabość do dekadentów. Nie szkodzi. Grunt w tem, że możesz pan prowadzić rzecz z pewną inteligencyą.

— Dajesz mi pan zupełną swobodę?

— Tak.

— I dość miejsca?

— Tak, chcemy dział ten uprawiać. Chcemy mieć pismo wzorowe, „patent," pismo, które rodaków naszych w podziw wprowadzi. Czas już zbudzić trochę kultury w tem mieście, które za lat 50 będzie stolicą północy.

Spojrzałem na niego. Kiwnął głową.

skrajanego panegiryku. I my skąpiemy szkic nasz w promieniach słonecznej sławy nieboszczyka, nie zamkniemy jednak oczu na plamy.

Kilkanaście tomów, składających się na literacki pomnik Jheringa, przedstawia różną treść i wartość niejednakową. Z zawodu romanista, cywilista, processualista, wszędzie atoli i zawsze prawnik-filozof, w każdej dziedzinie, gdzie pracował, pozostawił mniej lub więcej głębokie ślady swej twórczej działalności.

W ramach naszej pracy nie możemy drobiazgowo opowiadać treści każdego skądinąd ważnego dzieła Jheringa. Idzie nam raczej o uchwycenie kilku głównych i znamiennych rysów, w których wyraża się nietylko uczony, myśliciel, ale i człowiek.

Do szerokiej publiczności przemówił po raz pierwszy w r. 1872, kiedy ogłosił drukiem wykład swój, miany początkowo w ciasnem kółku prawników wiedeńskich „Walka o prawo“ (obecnie 10 wydań w oryginale i 20 przekładów). Rzadko kiedy dzieło, poruszające najwyższe zagadnienia filozofii prawa, miało taki wpływ szeroki, takiem cieszyło się uznaniem, jak niewielka książeczka Jheringa. Posłuchajmy, co mówi: „W walce musisz zdobyć swe prawo. Celem prawa jest pokój, środkiem zaś do tego walka. Życie prawa to walka, walka narodów, władzy państwowej, stanów, jednostek.“ Taką pobudką wojenną rozpoczyna się długi szereg wywodów prawnych, za pomocą których autor chce dowieść, że jednostka obowiązana jest bronić prawa swego wobec siebie samej i wobec społeczeństwa. Oto są dwa kamienie węgielne całej nader pięknej, misternej budowy. Autor zamierza wyniszczyć typ „filistra prawnego,“ który praw swych nie broni „dla świętego spokoju.“

W drugiej swej pracy filozoficznej, której dwa dopiero tomy ukazały się na widok publiczny (1877 i 1883), Jhering starał się zbudować teleologię zjawisk społecznych. Wbrew natywistom, twierdzącym, jakoby prawo było wynikiem głęboko w naturze ludzkiej spoczywającego popędu, wrodzonego uczucia prawa, postawił *cel*, jako twórcę prawa, cel powstały drogą doświadczenia w ciągu stulleci i tysiącoleci. Społeczeństwo jest podmiotem celowym prawa, które nie stanowi dla siebie samego celu, lecz jest tylko środkiem dla osiągnięcia jednego wielkiego celu: błogostanu społeczeństwa. Nikt nie istnieje dla siebie samego, ale dzięki innym i dla innych. Nie poczucie prawa (Rechtsgefühl) stworzyło prawo, ale odwrotnie prawo stworzyło poczucie prawa. Prawo ma tylko jedno źródło, a tem jest praktyczne źródło celu — tak można własnymi słowy autora sformułować główną myśl jego dzieła. Pierwszy tom *Celu w prawie* poświęcony jest „mechanice społecznej, która ma wykazać główne sprężyny ruchu społecznego“ (wynagrodzenie i przymus). Autor roztacza przed czytelnikiem barwny obraz dzisiejszego ruchu kredytowego, wprowadza nas do zamierzchłych stosunków starożytnego Rzymu, zwraca się po wskazówki do systemu prawa rzymskiego, zarówno jak do współczesnych stowarzyszeń i związków, wszędzie szukając celu. Następnie z dziedziny prawa przechodzi do etyki i znowu cel jest jej twórcą, głównym momentem wszystkich trzech społecznych imperatywów: prawa, moralności i obyczaju. Tym ostatnim poświęcony jest tom drugi. Tutaj schodzi Jhering do najniższych warstw życia codziennego. Rozważa zwyrodnienie obyczajów wszędzie: w parlamentaryzmie, w obyczajach korporacyjnych, stroju, przyzwoitości, „grzecznościach towarzyskich,“ kończy wreszcie „spisem grzechów,“ w którym zebrane zostały wszystkie, a tak niezliczone niedorzeczności naszego życia towarzyskiego.

Jhering zabronił krytyki swego „Celu w prawie“ przed ukończeniem całości. Wobec tego zakazu i wobec prawdopodobnego ogłoszenia drukiem pozostałych rękopisów, wstrzymamy się z uwagami. Jedną tylko pozwolimy sobie uczynić. Co to jest cel? Jaką posiada doniosłość? Gdzie jego granice? Zdaje się przedewszystkiem, że nie powinien mieć, jak u Jheringa, znaczenia absolutnego. Kiedy dawniej mówiono, że prawo „musi być sprawiedliwem“ — on powiada, że musi być celowem. To nie wszystko jedno. Można mówić o prawie, że jest celowem w tem znaczeniu, że ono umożebnia spokojne istnienie ludzi, albo znowu z drugiej strony, że przygotowywa ich do błogostanu niebieskiego, albo wreszcie że prowadzi do Nirwany lub wiedzie na zgubę i potępienie moralne. Jhering wskazał jedną stronę zagadnienia o istocie prawa, stronę ważną, ale zagadnienia samego nie rozwiązał — o ile przynajmniej sądzić możemy w granicach dwu wydanych tomów.

Oto mniej więcej, w najogólniejszych rysach, całokształt jego filozofii. Z natury naszej pracy dla niespecyalistów pisanej wypływa, że musimy więcej szkicować, niż malować. Nie możemy dać „teatru żywych ludzi,“ a natomiast chiński teatr cieniów. Reszta długich i rozwlekłych badań Jheringa nad prawem rzymskiem, cywilnem, nad procedurą cywilną, chociaż cennych i ważnych, ze względu przedewszystkiem na swą niezwykłą oryginalność, tutaj musi być pominięta. Zaznaczymy tylko ów przed chwilą wskazany rys, który w wysokim stopniu wyróżnia Jheringa z pośród rzeszy panurgowego... stowarzyszenia profesorów niemieckich. Gdziebądź pracował, czy na polu prawa, czy na polu etyki, wszędzie zrywał z przeszłością. Nie istniały dla niego żadne powagi, żadne dogmaty, żadna tradycya. Podziwiano go, ale często nie uznawano. Ta samodzielność, nowatorstwo, ten zapał rewolucyjny jest największą cnotą Jheringa, największym plusem w rachunku jego literackiego sumienia. Stwierdza on znane porównanie Bacona: jak pająk snuł z głębi ducha swego przedziwną nić swą i dziergał niezrównaną w budowie swej misternej — sieć kunsztowną...

Po za Jheringiem-uczonym istniał jednak Jhering-człowiek, Po za umysłem istniało serce. W co wierzył? co ukochał? Wobec braku materyału (pamiętników, korespondencyj) zadanie takie staje się niezwykle trudnem. Postaramy się atoli wedle sił odpowiedzieć na te pytania. Trzeba będzie w myśl słów Sainte-Beuve'a szukać autora między wierszami, odtwarzać go z pod papieru.

(D. n.).

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Rojan Kazimierz, *Tymko Medier*, powieść współczesna. 1892.

Wycisnąwszy tę grubą cytrynę (książkę formatu 8-ki mniejszej o 406 str.), otrzy-

---

— A więc..? — zapytał.
— Prawie sądzę, że... namyślę się!
— *Well, Sir.*

* * *

...Niegłupia myśl. Skoro niema po co żyć, to i co robić — trzeba wziąć się do jakiejś pracy.

Działać na drodze wychowawczej, cywilizacyjnej; ucywilizować wszystkich tych niedogolonych niedźwiedzi. Stworzyć możliwość bogatszego życia duchowego w mieście tem, gdzie dotychczas ludzie inteligentni skazani byli na wspólne przesiadywanie w Grand Café i picie pjolteru.

Młodzi bezwątpienia zaczynają tęsknić za czemś głębszem, subtelniejszem; ponad polityczną wrzawę, krzyki cygańskie i morały chcą wznieść się do kultury europejskiej; gdyby tym młodym pomódz trochę, mielibyśmy za parę lat może dość wykształconą publiczność. A potem możnaby i tu nawet istnieć.

...Młodzież — to przyszłość! Cóż mnie przyszłość obchodzi. A jednak człowiek ma jakąś chęć wpłynięcia na tę przyszłość, Bóg wie, dlaczego.

Ostatnia iluzya. Obym ją mógł zachować.

XXXII.

„Czas jest stary“ — „świat jest stary“ — „czas jest stary“ — „świat jest stary“... oto dźwięki, które płyną z Paryża, niby dzwon pogrzebowy z wieży kościoła Notre Dame.

Tak, tak. Żadnych złudzeń, żadnej „wiary“ — oto definicya starości.

Jakąż to właściwie „wiarę“ mieliśmy niedawno? Ach, prawda, „rozwój“... A tu zjawia się taki lub inny rzemieślnik filozoficzny i niby coś nowego zwiastuje, o czem wtajemniczeni oddawna już wiedzieli: zwiastuje, że rozwój tylko więcej jeszcze sprowadzi cierpień. Rozwój jest zróżniczkowaniem, wysubtelnieniem; wysubtelnienie natury ludzkiej zmniejsza zdolność trawienia disharmonii; i bańka mydlana pęka. Raj nie leży po za nami — mówią pozytywiści; nie leży i przed nami — dodają dekadenci.

Ród ludzki siada na skraju drogi i opuszcza ręce. A spojrzenie jego jest nieruchome, bezmyślne, niby spojrzenie człowieka obłąkanego. Mrok z przodu i mrok z tyłu. Bezmyślnie, obojętnie migają błędne ognie nauki na nieskończonych moczarach.

A w powietrzu wyją zbliżające się zawieje zimowe, a spadające liście wypełniają cały świat.

* * *

Azya, Azya...

Czyż istotnie wierzyć mogłem przez tyle lat, że Europa prześcignęła Azyę? W gruncie rzeczy Europa czekać musi wiele jeszcze tysiącoleci, zanim Azyę doścignie...

Tam oddawna wiedziano, co my teraz dopiero widzimy; wiedziano, że niema rozwoju, jest tylko ustawiczne kręcenie się w kółku. Wszystko powraca, my sami powracamy; jedyną mądrością jest kwietyzm. A jedyną nadzieją dla jednostki jest: wyswobodzenie się za pomocą abnegacyi i negacyi życia ze szranek bytu indywidualnego i w błogiem upojeniu popłynąć w nieskończony wszechświat, w Nirwanę.

* * *

Dr. Kwaale *jeszcze* nie chce mi pożyczać swoich książek o hypnotyzmie, spirytyzmie itp. Więc sam postarałem się o parę tomów tej treści.

Przedziwne to rzeczy. Lecz wystarcza czytać o fakirach indyjskich itd., a wie się, że pomiędzy niebem a ziemią istnieje coś więcej jeszcze, aniżeli H_2O, SO_3 H_2SO_4...

* * *

Filozofia azyatycka jest genialną — jedyna to prawdziwa filozofia.

Przed tysiącami lat odkryto, w co my dziś jeszcze uwierzyć nie chcemy: że niema prawdziwego zadowolenia. Wszystko, co nazywamy zadowoleniem, jest zawodem, do nowych wiodącym męczarni; jedynie prawdziwem jest — pożądanie. Ażeby więc osiągnąć zadowolenie, należy stłumić żądzę — rozumował azyata z lodową logiką. I oto fakirowie i derwisze, i wszyscy ci, którzy wspięli się na szczyty mądrości, wstępowali na kamienie i słupy, i ginęli dla świata. Sami się hypnotyzowali, zatapiając się ustawicznie w Nirwanie; i nie doznawali już braku, i dusza ich stawała się przybytkiem spokoju.

(D. c. n.).

mujemy kilka kropel życiodawczego eliksiru ze starej apteczki „pracy organicznej.“ Są to krótkie lecz długo opowiedziane dzieje „pierwotnego gromadzenia kapitału,“ w którem z chlubą dla kraju odznaczył się energiczny potomek niedołężnego szlachcica galicyjskiego — w antypodach. Autor— jak to zwykle bywa przy tendencyjności— jest bezwiednym może wyrazicielem potrzeb chwili — społeczeństwa, zmuszonego wstąpić w nowy system gospodarczy. Na tym czysto materyalnym gruncie wyrastają odpowiednie ideały życiowo-obyczajowe, promieniejące wszystkiemi barwami tęczy. Ideały te w istocie rzeczy nie są zbyt wysokiego polotu, bo wyrastają nie z podniosłej żądzy *rzeczywistego* uszczęśliwienia całej gromady ludzkiej, lecz ze zwyczajnej, płóciennej kieszeni dorobkiewiczowskiej. W „powieści współczesnej“ podaje p. Rojan dwa wzory napełniania tej kieszeni: jeden do pogardzenia, stary, przebrzmiały, przyświecający staremu pokoleniu, drugi— do naśladowania, będący odzwierciedleniem nowych warunków życia — w mózgach młodszej generacyi. Po ten ostatni poleciała wyobraźnia autora aż do kraju yanków, starego — dostarczyło safandulstwo ziemiańsko-szlacheckie.

Rzecz się ma tak. Pan Marek Radliński, wychowany jeszcze w pańszczyznianem otoczeniu, w systemie gospodarczym, który, zapoznając nadwartość w naturze, czynił zbyteczną przedsiębiorczość i troskę o postęp techniki wytwarzania—wepchnięty nagle w wir burzliwej, zmiennej i zdradzieckiej gospodarki pieniężnej, wpędził prędko na skały podwodne lichwy żydowskiej — łódkę swoją, czyli majątek. Czując, że blizką jest rozbicia, zaczął marzyć, jak wielu jemu podobnych, o interwencyi Opatrzności. Przybłąkał się do niego stary i ślepy dziad. Pan Marek przyjął go i dał miejsce sadownika we dworze. Dziad przez wdzięczność za opiekę odkrył mu ważną tajemnicę. Zwierzył się, że przed rokiem wypuszczono go z więzienia, gdzie przesiedział prawie całe życie za to, że za młodu należał do szajki opryszków, z którymi razem „rabował panów i zabierał po dworach złoto i srebro.“ Jednej nocy złapali ich wszystkich, zamknęli w kryminale na całe życie — skarby ich pozostały w ziemi. Gdzież to się znajduje? „Jest tu gdzieś blizko stary las — powiadamiał opryszek — tam pod górką są jamy borsucze i są płyty czarne; dołem jest parów i źródło — tam koło tych płyt były nasze nory. Gdy szliśmy nocami na rozbój, zakładaliśmy drzwi kamieniami i przysypywali ziemią, drzwi te były małe, że raczkiem trzeba było do środka włazić. Dwieście kroków na wschód od czarnej płyty, największej, jaka tam jest, była w ziemi chata naszego starszego.“ W tej chacie chowali opryszki skarby, złoto w kociołkach i garnkach — srebro i drogie kamienie. Wszystko to stary zbój oddał panu Radlińskiemu za to, że mu dał przytułek i ciepłą strawę na starość. Zdradziwszy tajemnicę, gdzie kryją się skarby, stary zbrodniarz zaczął konać. W malignie przedśmiertnej ujrzał widmo herszta, Tymka Mediera, który przyszedł go udusić za wydanie jego złota.

Tymko Medier, jako cudowne źródło wzbogacenia się, nie przestawał odtąd prześladować myśli podupadającego szlachcica. Rojąc tęczowo o skarbach ukrytych w ziemi, upajał się myślą, że całą zgraję lichwiarzów-żydów i wierzycieli chrześciańskich raz na zawsze zaspokoi i uwolni się nareszcie od trapiącej go zmory licytacyi i bankructwa. Cichaczem, skradając się, żeby nie być widzianym, udał się na miejsce wskazane przez opryszka — i kopał. Ale nadaremnie. Spocił się okrutnie, lecz skarbów nie dostał. Wypłoszył tylko z nory mysz rudą. Nie stracił jednak nadziei i ciągle kopał. Im bardziej majątek się zadłużał, tem gorliwiej w nadziei, czy rozpaczy— poszukiwał garnków ze złotem. Tymko Medier stał się główną osią myśli i uczuć pana Marka we śnie i na jawie. Część majątku musiał oddać lichwiarzom, a pozostałą coraz więcej zadłużył. Im bliższa była subhastacya, tem zacieklej szukał skarbów — ale zawsze nadaremnie. Jego niepoprawna dusza pańszczyzniana, zamknięta w niemiłosiernej i mściwej gospodarce pieniężnej, w chwilach ciężkich, siłą nałogu, z namiętną tęsknotą zwracała się zawsze, chociaż pod postacią nadziei na odkrycie skarbów Tymka Mediera—w stronę „złotych czasów.“

Z tą nadzieją byłby doczekał się torby żebraczej, gdyby nie jego synowiec, Michał, który był pojętniejszym synem zmienionych warunków życia. Młodzieniec ów był twardego charakteru, którym go życie ciężkie obdarzyło, był zamknięty w sobie, dumny, trzeźwo na świat patrzący — bo do karyery sławnego na całą Europę inżeniera dotarł o własnej sile. Zostawiony sam sobie, za jedynego powiernika miał Biblię po ojcu, zmarłym gdzieś w zawierusze węgierskiej. Nie słowa święte krzepiły go w walce o uzdolnienie do karyery, ale testament ojca, wpisany alfabetem liczbowym na okładce. Kazał mu w usposobieniu i zdolnościach swoich odkryć cel życia — ideę, „rozkołysać ją sercem, wypielęgnować rozumem i poświęcić ją sobie,“ „energicznym być w czynach, nie w słowach,“ gdyż energia daje majątek, „a majątek potrzebny jest do czynów.“ Młodzieniec więc zawiedziony dwukrotnie srodze w miłości, zamknął się w sobie zupełnie i wszędzie szukał *idei*. Póki jej nie znalazł, nie czuł w sobie pełni życia. Raz miał niezłą sposobność, kiedy, ograny w Wiedniu z pieniędzy przeznaczonych na dalsze studya — przez kokotę, z którą żył jakiś czas, udał się do jednej z żelaznych fabryk w Styryi, gdzie dosługiwał się godności skończonego fachowca jako prosty wyrobnik. Bardzo był blizkim idei i może najżywotniejszej dzisiaj, ale za ciasną mając głowę i za krótkie ręce, nie uchwycił jej — i szukał dalej. A wiesz, czytelniku, gdzie ją dopiero znalazł? Aż za oceanem, u yanke'ów, w kraju, gdzie miliardy rosną w okamgnieniu. Zaprzyjaźnił się tam z młodym przedsiębiorcą przemysłu nafcianego i na wspólkę z nim — tamten dał kapitał, a on swoje zdolności techniczne — wiercił studnie, tryskające pokupną, sławną naftą amerykańską. Płyn ten go wzbogacił. Jeden z szybów nazwał „Tymkiem Medierem.“ Z lubością i łakomstwem rzecznika bankrutującej klasy autor opisuje ten deszcz dolarowy, którego kilka kropel, przesłanych przez synowca stryjowi w przededzień licytacyi, zdołało nietylko wczas ocalić majątek, ale dało możność „szlagonowi“ postawienia go na stopie większej wydajności. Z chełpliwością pewnego siebie i dzielnego mieszczanina pisał synowiec, że jego Tymko od pięciu miesięcy daje mu po 400 beczek nafty na dobę, a każda beczka wyobraża wartość dukata, że siedem innych szybów przynosi mu 20% dochodu. Po 18 miesiącach wracał do kraju dzielny inżenier już jako skończony kapitalista i przyglądając się biednym, obdartym chałupom i znękanym twarzom chłopków, „zaludniał wewnętrznem widzeniem biedne, nikczemne przestrzenie galicyjskie innymi ludźmi, budował domy białe, kryte gontami lub dachówką, okolił je sztachetami, napełniał przyległe obory rasowem bydłem, rozdawał własną ręką nasiona, gdzieniegdzie rzucał na tło horyzontu komin jakiejś fabryki, gdzieniegdzie ustrajał je w szkołę przemysłową lub rolniczą, a nie, to w zakłady sierot i wydziedziczonych.“ Wzniosłe marzył. Komin fabryczny udało mu się rzucić na tło horyzontu podkarpackiego, bo stał się posiadaczem kopalni nafty, ale czy inne też marzenia, np. o domkach krytych dachówką itd. zdołał ziścić, o tem p. Rojan, gdyby przyjrzał się ogniskom przemysłu nafcianego w Galicyi nieco uważniej, niewiele pocieszającego mógłby powiedzieć. Zresztą są to rzeczy uboczne wobec przewodniej myśli powieści. Rdzeń tkwi w tem, żeby rozdmuchać w bezładnem ziemiaństwie galicyjskiem ducha przedsiębiorczości, oderwać oko od chmur i skierować je nie do urojonych, lecz naturalnych skarbów ziemi, na której niejeden szlachcic śpi przywalony długami.

Jeżeli jednak autor chce być powabniejszym dla czytelników, niech się pozbędzie wielosłowności i wyrobi sobie wdzięczniejszy styl, bo inaczej znudzić może, kogo chciał pocieszyć.

Zyg. Piet.

W SPRAWIE TANDETY KRYTYCZNEJ.

Wielokrotnie użalamy się, iż za granicą mają opaczne i powierzchowne mniemanie o naszej twórczości literackiej. Zaznaczamy z pewną satysfakcyą bolesną każdy rażący błąd, każde sprzeniewierzenie się prawdzie. Literatura polska nie gra obecnie rozgłośnej roli w koncercie europejskim, nie przykuwa bacznej uwagi i mało budzi sympatycznych odgłosów. Wiele się przyczyn na to złożyło, których tu rozbierać nie będziemy. Nie dziw, iż krytyka europejska mało się zaprząta tym przedmiotem. Nie pojawiają się o naszej literaturze takie obszerne studya, jak Melchiora de Vogne, Hennequina i wielu innych o ruskiej, lubo sporo naliczyć można sympatycznych wzmianek. Rzadko odzywają się poważni pisarze o naszej literaturze. W Anglii czasami coś napisze prof. Morfill, znany slawista. W Niemczech niezbyt dawno przemówił taki gruntowny badacz, jak Karpeles, ale i w jego pracy wytknięte zostały liczne niedokładności i uchybienia. We Francyi od czasu do czasu prof. Leger w swych studyach historyczno-literackich udzieli nam skąpo i niechętnie nieco kartek. Po za tem rozpościera się dziedzina panowania wszelkiego rodzaju luzaków i ochotników, harcujących na własną rękę, nieposiadających należytej wiedzy, rozwagi, a czasem nawet sumienności. Zastęp ów rekrutuje się z turystów zagranicznych, którzy przeczytawszy parę tłomaczeń z języka polskiego, nagle uczuwają powołanie wyroczni krytycznej, lub też indywiduów pochodzenia tutejszego, poczytujących za dosyć zabawny sport wyprawianie turniejów krytyczno-sprawozdawczych na rzecz piśmiennictwa ojczystego; najliczniejszy jednak składnik stanowią rodacy, usiłujący zużytkować w ten sposób swą wiedzę lingwistyczną, a także spłacić daninę tą drogą swym uczuciom. Z tej rzeszy chlubnie wyróżnił się Otto Hausner, którego studyum, umieszczone przed dziesięciu laty w *Deutsche Rundschau*, przedstawiało pewną całość skończoną, umocowaną na szerszej podstawie, chociaż autor skreślił je nieco pobieżnie, a niektóre sądy poczerpnął z drugiej ręki. Inni sprawozdawcy rodzimi zgoła poszczycić się nie mogą takiemi zaletami. W r. 1885 wstęp krytyczny o bieżącej beletrystyce polskiej do francuskiego tłomaczenia nowel Sienkiewicza napisał p. Wyzewa. Szczodrą ręką rozrzucił on tam sporo sądów bałamutnych, drwinkowań zgryźliwych i poglądów indywidualnych, nieopartych na niczem. W organie realistów niemieckich, t. zw. „młodych“ (*Gesellschaft*), obszernie i starannie był prowadzony dział sprawozdawczy o literaturze obcej. Otóż recenzye polskie wyodrębniały się najniekorzystniej. Angielski *Athenaeum* zamieszcza doroczny przegląd piśmiennictwa europejskiego. Sprawozdawcą polskim jest p. Ad. Bełcikowski. Pomiędzy artykułami, pisanymi barwnie i z talentem, kronika jego odbija się wielką szablonowością i płytkością. Zadaniem takiej kroniki jest

przedewszystkiem uplastycznienie *cech znamiennych* literatury pewnego społeczeństwa w danym okresie czasu. Obrazu całkowitego malować ona nie może, ale też nie powinna ograniczać się na pobieżnem wyliczaniu autorów i treści ostatnich ich dzieł. Tegoroczne sprawozdanie p. Bełcikowskiego najlepiej ujawni nam sposób, w jaki ogół angielski zaznajamiany bywa z tworami naszego ducha.

Referent pracę swą rozpoczyna od Orzeszkowej, nadmienia o jej jubileuszu, zaznacza ukazanie się „Bene Nati.“ Przechodzi następnie do powieści Zacharjasiewicza — „Moje szczęście,“ dopatrując się w niej mistrzowskiego kreślenia uczuć i charakterów. Podkreśla dalej psychologiczną (!?) powieść T. Jeske-Choińskiego „Po złote runo,“ obrazującą wewnętrzne walki, przez jakie przechodzi każdy członek warstwy inteligentnej. W powieści M. Gawalewicza „Ćma“ widzi opis tragicznego upadku młodej, nerwowej, wrażliwej i nierozważnej kobiety, skreślony w nastroju pesymistycznym. Ten sam nastrój ujrzał p. Bełcikowski i w ostatnich powieściach Estei. Łatwowierny czytelnik gotów mniemać, iż w tworach pomienionych pisarzów rozbrzmiewają jakieś akordy byronowskiego pesymizmu, tymczasem dźwięczą one całkiem strunami minorowemi. Następnie wzmiankuje p. B. o powieści K. Rojana „Tymko Medier,“ napomyka o powieści Z. Ćwirko „Po szczęście.“ Szczególny ma dar p. Ad. Bełcikowski do wykrywania takich zalet i właściwości, jakich zgoła nie dostrzeże czytelnik. O powieści A. Zaleskiego i W. Zagórskiego — „Pan Radca“ powiada, iż jest niezwykle ciekawą i żywą w tych miejscach, gdzie wchodzi w grę element satyryczny. Szkicuje następnie ostatnie płody nowelistyki naszej. Ostoja pojawia się z przyklejoną stale etykietką: „najbardziej męskiego talentu pomiędzy polskiemi autorkami.“ Gawalewicz został mianowany „głębokim“ (deep) i „subtelnym“; J. Łętowski — „lirycznym.“ Notatkę ową zamykają uwagi o ostatnich wydaniach poezyi, sztukach scenicznych i najnowszych dziełach historycznych.

Rzeczywiście, jest to przegląd bieżącej literatury polskiej, dokonany *à vol d'oiseau*, lecz z wyżyn lotu pospolitego wróbla, zdolnego tylko ćwierkać na nutę banalnej i ogólnikowej zwrotki. Można być wdzięcznym dobrowolnym głosicielom sławy narodowej za podejmowane trudy; lecz należy rozciągnąć baczną kontrolę nad ich występami.

Br...sław Ch.

T E A T R.

A. W. Pinero, *Fałszywe cnoty*, komedya w 4 aktach, tłomaczona z niemieckiego podług oryginału angielskiego.

Słuchając w teatrach przeróbek różnorodnych i sztuk „zlokalizowanych,“ podziwiam nieraz powolność autorów (żyjących), którzy pozwalają na kaleczenie ich płodów umysłowych, na skrzywienie tendencyi i wstawienie postaci wcale niezgodnych z całą dążnością utworu powieściowego lub scenicznego. Takie figurki i całe grupy po stłuczeniu sklejane robią to, iż twarz płacząca przybiera wyraz komiczny i odwrotnie; gdzie był widnokrąg otwarty, tam się zjawiają aniołki, kupidynki lub błazny. Owa robota rzemieślnicza, sklejana i zszywana naprędce przez aferzystów teatralnych, coraz bardziej wchodzi w życie u nas i za granicą. Dzieje się to samo, co z firmą starą, nabytą przez nowego kupca: na szyldzie duże złocone litery poprzednika i drobniutki napis następcy. Artur W. Pinero, znany spółczesny dramatopisarz angielski, jest właśnie tą firmą, nadużywaną przez aferzystę Oskara Blumenthala, dyrektora teatru Lessinga w Berlinie. Utworowi osnutemu na podścielisku wielko-brytańskiem dał on tło francuskie i ubrał go w pojedyncze postacie niemieckie. W takiej formie sztuka dostała się na naszą scenę. Gdyby nam ją dano w pierwowzorze, mogłaby przeciętnego widza zająć, a wybredniejszego znużyć poczciwością myśli przewodniej i sensu moralnego. Mieliśmy tego już tak dużo! W każdym jednak razie wolelibyśmy owoc talentu Pinera, bez żadnej domieszki, bo chociaż pokazuje on postacie i stosunki dla nas obce, ożywione atoli prawdą. Autor angielski w sztuce, noszącej tytuł: „Nikczemny“ (*Profligate*) surowej chłoście poddaje zepsucie wyższych warstw swego społeczeństwa. Młody pan uwodzi ubogą nauczycielkę, która mu ulega pod wpływem zwykłej obiecanki połączenia się z nią związkiem małżeńskim. Porzuciwszy jednak swą ofiarę, żeni się z bogatą panną rodu uprzywilejowanego. Pokrzywdzona nie szuka odwetu, przeciwnie, gdy przypadkiem zdradza czyny swego kochanka przed prawą żoną jego, stara się wszystkie winy przyjąć na siebie i umyka za ocean. Młoda atoli małżonka, wyhodowana w cieplarni cnót tradycyjnych, nie chce swemu towarzyszowi życia przebaczyć grzechów kawalerskich, rozstaje się z nim, on zaś z rozpaczy życie sobie odbiera w chwili, gdy żona chce mu przebaczyć. Blumenthal w przeróbce usunął tło i zakończenie dramatyczne. Nikogo nie uśmiercił, obmył bohatera, a jego ofiarę pokalał. W chwili gdy młody margrabia de Triseuil (p. Prażmowski) usunął się za scenę dla podpisania spółki małżeńskiej, do pracowni adwokata, Pawła Benoita (p. Ładnowski), wpada Małgorzata Berthet, uwiedziona przez nowożeńca, z piśmiennem przyrzeczeniem wynagrodzenia jej „cnoty utraconej“ — małżeństwem. Adwokat, jakkolwiek sam nosi w swem sercu miłość nieszczęśliwą, nie chce skorzystać ze sposobności i we własnym interesie zapobiedz połączeniu się margrabiego z Janiną de Lussac (p. Czakówna), siostrzenicą swego wspólnika, adwokata Frossarda (p. Grzywiński). Pokrzywdzona atoli, nie mogąc się stać przy pomocy prawa klinem w projektowanem małżeństwie, obmyśla zemstę samodzielną, podsycaną temperamentem kokoty. Wszedłszy do domu młodych małżonków (w nieobecności margrabiego) jako gospodyni, zdołała usidlać udaną miłością niedoświadczonego młodzieńca, Roberta de Lussac (p. Wolski), brata margrabiny. Zamach jednak się nie udał, ale Małgorzata osiągnęła w części zemstę zamierzoną: rozłączyła parę. Dzięki jednak zabiegom dwóch przyjaciół hr. Chavigny (p. Frenkiel) i Benoit'a, przyszło do zgody, tem bardziej, że ofiara, jak się okazało, nie była tak bardzo pożałowania godną, upadek bowiem pozwolił jej wejść na wyżyny dostatku. Jakiś lord, poszukujący wyłącznie cnoty pokrzywdzonej, ożenił się z nią i otoczył zbytkiem. Aby zakończenie jeszcze pomyślniejszem uczynić, p. Blumenthal w swej przeróbce nie pozwala, chociażby krótko, cierpieć usidlanemu przez Małgorzatę Robertowi de Lussac, i na pocieszenie żeni go z młodą i niewinną panną Anielą (p. Junosza). Zbytnią naiwnością trąci czynnik wpływający na pojednanie poróżnionych. Dopiero gdy koleżanka margrabiny (panna Aniela) zwierzając się przed nią z tajemnic sercowych zapewnia, że ją nie martwi i nie obchodzi historya dawnych romansów narzeczonego, rozłączona z mężem kobieta przychodzi do przekonania, że i ona powinna puścić w niepamięć grzeszki swego małżonka z okresu kawalerstwa. Dla zaprawienia sztuki komizmem, tu i owdzie snują się bezustannie: hrabia Chavigny i pani Barbusson (p. Borkowska).

Komedya wogóle miała dobrych wykonawców. Szkoda tylko, że nie wszyscy dostali role właściwe. P. Czakówna kilka scen zgodnych z naturą jej talentu, odtworzyła świetnie, w chwilach jednak silniejszych w wybuchach rozpaczy, znać jeszcze więcej sztuki, niż prawdy. P. Frenkiel, chociaż nie miał zbyt szerokiego pola do roztoczenia w całej pełni swego komizmu bogatego, ożywił jednak bardzo nawpół cyniczną postać starego wyjadacza, od czasu do czasu ujawniającego pierwiastki szlachetne. P. Ładnowski doskonale pojął postać idealnie zacną człowieka ciągle poskramiającego własne uczucia, przed któremi stanęły rogatki małżeńskie. P. Wolski lepiej grał niż kiedykolwiek. P. Ludowa, pomimo gry dobrej, nie była w swoim żywiole. P. Borkowska uwydatniła wybornie postać starej plotkarki i intrygantki. Pan Prażmowski wszystko wydobył, co się dało na swą korzyść z monotonnej i trochę nudnej postaci margrabiego. Pani Junosza zbyt jeszcze surowy stanowi materyał, ażeby coś o niej szczególnego dało się powiedzieć.

Zenon Piętkiewicz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SPOŁECZEŃSTWO CHŁOPIĘCE.

Mamy przed sobą oryginalną pracę, niejakiego Johna Johnsona*), poświęconą rozbiorowi stosunków i pojęć społecznych, jakie powstają żywiołowo wśród dziatwy szkolnej. Autor przedstawił własne spostrzeżenia, jakie poczynił był w zakładzie wychowawczym w Marylandzie (jeden ze stanów Związku północno-amerykańskiego). Zakład ów powstał z zapisów filantropa baltimorskiego Mc Donogha i daje utrzymanie z wykształceniem 50 ubogim malcom. Jakie tu istnieją stosunki, nie wiemy dobrze; prawdopodobnie takie same, jak w innych tego rodzaju instytucyach amerykańskich. Autor pomija je milczeniem, jako powszechnie znane. Z tego powodu dla nas, w wywodach Johnsona jest mnóstwo miejsc niejasnych. Jedynie z luźnych wzmianek, rzuconych tu i owdzie, możemy wyrobić sobie jakieś wyobrażenie, zresztą dość niedokładne, o ustroju szkolnym. Dowiadujemy się tedy, że malcy winni sami czyścić sobie obuwie, przynosić wodę itd. Wolno im prowadzić różne drobne przedsiębiorstwa, np. wyrabiać zabawki na sprzedaż, a nawet przysmaki. Jeżeli który chce, może urozmaicać swój obiad — z własnych środków. Ponieważ przy zakładzie znajduje się około 800 akrów ziemi, podczas żniwa wszyscy chłopcy są obowiązani do pracy, odpowiedniej ich siłom, za co dostają taką samą zapłatę, jak inni najemnicy, a z pieniędzmi mogą czynić, co się im spodoba. Zresztą szkoła nie zmusza do tej pracy swych wychowańców, prócz niektórych wypadków. Mianowicie wszelkie kary są zmienione na opłacaną pracę w polu, atoli ów „debet“ jest spełniany nie wtedy, kiedy malec życzy sobie, lecz kiedy zwierzchność mu nakaże. Tak np. pół godziny pracować on musi, jeśli przybędzie na śniadanie w nieoczyszczonem obuwiu. Po za nauką panuje swoboda, niczem nieskrępowana. Wszelkie kłótnie uczniowie załatwiają sami, mają prawo zbierać płody dzikie itd. w lasach majątku, sprzedawać je, handlować pomiędzy sobą. Możnaby nazwać tę szkołę wychowalnią młodych przedsiębiorców i kapitalistów, mających wspólną kolektywną posiadłość — w jej majątku, a obowiązanych w pewnych godzinach uczęszczać na lekcye. Składają oni i drukują własne czasopismo: *The Week*, poświęcone swoim kłótniom, walkom i interesom. Na

*) John Johnson *Rudimentary society among boys* (*Hopkins university Studies*, Baltimore).

takim gruncie, jak się zdaje, wspólnym wielu tego rodzaju instytucyom amerykańskim, musiały rozwinąć się z czasem pomiędzy malcami ciekawe stosunki, które Johnson, jako kierownik zakładu Mc Donogha, oświetla w swej książce. Redakcya, kierująca wydawnictwami społeczno-politycznemi amerykańskiego uniwersytetu imienia Hopkinsa, do pracy jego dorzuciła kilka słów wstępnych, gdzie w sposób następujący kreśli stanowisko autora i znaczenie podobnego rodzaju monografij. „Malcy, zanim wyrosną, powtarzają w streszczeniu dzieje swoich przodków. Jak w zmianach, które zachodzą w jajku, każdy embryolog rozpozna pewne szczątkowe rysy budowy, później zanikającej przed urodzeniem, podobnie socyolog i badacz urządzeń ludzkich może odnaleźć w gromadzie malców nie tylko szczątki społeczeństwa pierwotnego, ale i zawiązki dalszego rozwoju. Każda szkoła i kolegium odtwarzają w łonie swojem postępowy rozwój społeczeństwa ludzkiego, i to w dziedzinie urządzeń najciekawszych — rządu i prawa. W klasie szkolnej mamy przed sobą wszelkie fazy rozwoju społecznego, od istotnej dzikości, przebijającej się i występującej na jaw często w najlepiej prowadzonych zakładach, aż do zniewieściałych form cywilizacyi tegoczesnej. Samorząd społeczeństwa szkolnego przedstawia w nagromadzeniu wielkie ogniwa prawodawcze, od najdzikszych sądów do form najhumanitarniejszych. Prawo zwyczajowe szkolne obfituje w najstarożytniejsze przeżytki, a niektóre *College Laws* są równie archaicznemi, jak kodeks Manu. Pewnego dnia prawdopodobnie znajdą się ludzie, którzy przystąpią do systematycznych studyów nad wymierzaniem sprawiedliwości przez malców, samorządem i walkami politycznemi w szkole — ze stanowiska porównawczego — i ułożą historyę naturalną klasy szkolnej.“ Zresztą ustęp ten jest tylko streszczeniem wywodów samego Johnsona, który w pracy swojej na każdym kroku ucieka się do porównawczego zestawienia zwyczajów pomiędzy dziatwą Mc Donoghowską a społeczeństwem pierwotnem. Laveleye i Maine są dla niego powagami, a samą książkę, zwłaszcza w części jej najważniejszej, można uważać wprost za dodatkowy rodział do *Własności pierwotnej* ekonomisty belgijskiego.

Przejdźmy jednak do faktów. Z pośród nich zasługuje przedewszystkiem na uwagę opis rozwoju, że tak się wyrazimy, stosunków własności ziemskiej. Malcy w zakładzie Mc Donogha, zaraz od początku, stali się „myśliwcami“ na wielką skalę: różne dzikie drzewa owocowe, kasztany, orzechy, gniazda ptasie, wreszcie wiewiórki i króliki — oto były źródła, wyzyskiwane bądź dla spożycia własnego, bądź z celem dalszej spekulacyi. Cała szkoła posiadała względem tych darmnych produktów przyrody jednakie prawo zbiorowe, atoli od pierwszej chwili, idąc bezwiednie za wzorem starodawnej marki, wykluczyła wszystkich innych malców z sąsiedztwa. Złapanie kogoś obcego, chociażby nawet synka stałych oficyalistów zakładu, wywoływało powszechny wybuch oburzenia, odbijającego się echem w organie szkolnym, a każdy, który ośmielił się zbierać „ich“ orzechy lub złapać „ich“ wiewiórkę, niekiedy ulegał surowej przestrodze doraźnej. Zamiast węzła krewniaczego, jaki jednoczył członków marki pierwotnej w odosobnioną gromadę i utrzymywał wśród niej wspólne władanie gruntami, w zakładzie szkolnym występuje koleżeństwo z pokrewieństwem duchowem, a przodkiem ideowym staje się założyciel szkoły. Lecz najciekawszym ustępem ze stosunków własnościowych jest regulowanie wzajemnego użytkowania z sił przyrody. Przybiera ono formy bardzo odmienne, zależnie od natury sił owych. Tak np. co do pewnego rodzaju orzechów z czasem zjawiły się następujące zasady postępowania. Oznaczonego przez całe zebranie dnia październikowego, kiedy nastały już mrozy, a orzechy spadały przy potrząśnięciu drzewem, malcy wychodzili o północy na zbiór — przed tym dniem i godziną nikomu nie wolno było zerwać ani jednego orzecha, wtedy szkoła stałaby się dla niego piekłem, a każdy towarzysz — wrogiem. Zwykle 2—3 chłopców łączyło się w drobną solidarną gromadkę i szło od drzewa do drzewa, strząsając z każdego pewną, w każdym razie znaczną ilość owocu. Jeżeli teraz do jakiegoś z tych drzew nadeszła inna gromada, tylko wówczas wolno było im użytkować z niego, gdy strząśnięte orzechy wyzbierali w kupkę i odłożyli na boku. A ponieważ to wymagało bardzo znacznego przeciągu czasu, w którym można było znaleźć kilka innych drzew nienaruszonych jeszcze, każdy wolał nie dotykać się tego, gdzie ktoś inny pozostawił już ślady swojej pracy. W ten sposób wszystkie drzewa, z których sprzątnięto nieco owocu, stawały się własnością odpowiedniej gromadki. Kiedy ogół drzew uległ już przywłaszczeniu, wtedy każda grupa strząsała resztę orzechów. Zwyczaj ten, regulujący użytkowanie z własności wspólnej, posiada długie dzieje rozwoju. Pierwotnie każdy malec wychodził, kiedy mu się podobało, często zanim orzechy dojrzały. Jedni ubiegali innych, a spory były nieuniknione. Po kłótniach i bójkach zgodzono się wyznaczać corocznie dzień, kiedy zbiór winien się rozpocząć. A ponieważ jeden wciąż usiłował ubiedz innych, doszło do tego, że każdy wcześniej wstawał, aż wreszcie dzisiaj już wszyscy wyruszają o północy. Po dokonanym zbiorze, drzewa znowu stają się własnością wspólną — do roku następnego.

Inaczej już nieco ukształtowały się stosunki w zakresie wybierania jaj ptasich. Ptak składa jaja zwolna, a pomiędzy wypatrzeniem gniazda a wypełnieniem go jajami upływa niekiedy wiele tygodni. Malec, znalazłszy gniazdo, wyrzynał na drzewie znak, ażeby zabezpieczyć swoją pracę. To znowu zrodziło nowe bójki, póki zwolna nie zgodzono się, iż każdy, kto upatrzył drzewo, winien na nim przypiąć tabliczkę ze swojem nazwiskiem i datą. Nikt wtedy nie ma prawa ruszyć takiego gniazda. Atoli prawo to upływa z ostatnim dniem grudnia.

Najcharakterystyczniejsze wszakże stosunki stworzyło życie szkolne zakładu w dziedzinie połowu królików. Chwytają je za pomocą pułapek od października do grudnia. W pierwszych latach pułapki stawiano rozmaicie, a jedna przeszkadzała innym. Pewnego roku jakiś silny i starszy malec, który przed innymi wystawił kilka, zaczął wszelkie inne zbyt blizkie niszczyć. Przykład jego znalazł naśladowców i wreszcie wywołał zasadę, że w promieniu około 40 yardów od pułapki nie wolno stawiać żadnej innej. Nie skończyło się na tem. Kiedy z gniazda ptasiego po roku niema śladu, a prawo własności musi być wciąż odnawiane, pułapka, zbudowana z mocnego materyału, istnieje jeszcze w roku następnym i daje prawo malcowi zatrzymania danego miejsca. I oto co do połowu królików powstaje w szkole z czasem monopol ziemski wieczysty. Malec, póki jest w szkole, uważa pewne miejsce za swoją wyłączną posiadłość. Zwykle 2—3 łączyło się w spółkę, a kiedy jeden wychodził, inni zabierali w spadku jego prawa i przy opuszczaniu zakładu oddawali lub sprzedawali bliższym znajomym. Wreszcie po kilku latach wszystkie miejsca połowu królików stały się własnością 3 malców. Wraz z tem niezmierna praca zwaliła się na ich barki. Kiedy nastał okres połowu, codziennie musieli wstawać o trzeciej w nocy, brnąć z latarką w ręku przez zarośla, niekiedy 3 mile (ang.) od zakładu, a mimo to nie zdołali podołać pracy. Zaczęli więc wydzierżawiać swoje posiadłości (np. jedna miejscowość została na czas jakiś wypuszczona malcowi pod warunkiem oddawania połowy łupu). Około możnowładców powstaje drużyna. Ponieważ „właściciel“ może mieć podczas sezonu do setki królików, chętnie przyjmuje pomocników, rozsyła ich do różnych miejsc i nagradza kąskami smażonego mięsa. Atoli rozpoczęło się szemranie. „Ziemia — pisze przewódca opozycyi — należy do nas wszystkich, i każdy ma prawo łowić króliki. Ci, którzy opuszczają szkołę, nie posiadają prawa rozporządzać swojemi miejscami, należą one do tych, którzy wstępują. Nas jest 47, a ich tylko 3!“ Na razie przekupiono opozycyę — monopoliści dali im kilka miejsc. Atoli kiedy wychodząc ze szkoły zamierzali oddać wszystko jednemu, agitacya znowu objawiła się i znowu ją uciszono... W takim stanie rzeczy znajduje się sprawa połowu królików i dzisiaj.

Powyższy zarys rozwoju stosunków własnościowych przedewszystkiem świadczy o olbrzymim wpływie na własność samej natury wyzyskiwanych sił przyrody. To, co na drobną skalę spostrzegamy w zakładzie Mc Donogha, na wielką widzimy np. w stosunkach rolnych obszczyny wielkoruskiej, gdzie obok siebie istnieją najrozmaitsze fazy posiadania, odpowiednio do jakości sił — boru, łąki, pola ornego. Co więcej, każdy ze szczegółów rozwoju własności w szkole odnaleźć możemy w dziejach pierwotnej gminy rolnej. Dość np. przypomnieć zwyczaj, gdy w pewnej porze cała wieś wychodzi kosić jednocześnie łąkę, przytem pierwszego dnia każdy ścina jedynie wązki pas, idący kołem — co zawrze w tem kole, należy do niego. Zaznaczywszy mimochodem tę równoległość, przejdziemy do innych dziedzin życia społecznego dziatwy Mc Donoghowskiej.

Takie regulowanie wzajemnych stosunków w zakresie własności rolnej wytwarza potrzebę odpowiedniego ciała, w rodzaju miru wielkoruskiego i allmendu szwajcarskiego. Występuje też ono przed nami w owym zakładzie szkolnym z wszelkiemi swojemi własnościami. Johnson przedstawia nadto wymiar sprawiedliwości, która powtarza w swojem ukształtowaniu znowu dawne formy, a bójka i sąd boży rozstrzygają o słuszności. Sprawy rolne reguluje „mir“ ze wszystkich malców. Prowadzą oni ożywioną wymianę łupami swojego myśliwstwa oraz hodowli, bo oswajają i wychowują niektóre zwierzęta. Wymiana zaś ta przekracza granice zakładu, gdyż pomiędzy kobietami z sąsiedztwa a malcami zawiązały się stałe stosunki: ostatnie dają surowe owoce i króliki, w zamian za ciastka, scyzoryki itd. Każdy przedmiot ma swoją ustaloną cenę, a „masło“ służy za pieniądze wewnątrz szkoły. Malec otrzymuje na śniadanie około jednej uncyi masła, porcya ta stanowi jednostkę wymienną. Wiewiórka np. jest oceniona na 15 „maseł.“

Brak miejsca nie pozwala zapuszczać się nam w szczegóły. Wspomnimy przeto o jednym tylko, który odsłania nam naturę tego ogólno-społecznego frymarczenia, jakie ogarnęło dzisiaj życiem amerykańskiem i wżarło się w stosunki szkolne. Jak wiemy, każdy malec może i niekiedy musi pracować fizycznie za odpowiedniem wynagrodzeniem. Półgodziny przedstawia „credit,“ kara półgodzinna — „debit.“ Każdy uczeń ma księgę swoją *creditów* i *debitów*. Otóż te „credity“ i „debity“ również krążą jako moneta — jeden drugiemu płaci za drzewo kasztanowe lub odstąpienie jakiejś potrawy tyle a tyle kredytów. Jeżeli ktoś ma odrobić karę, inny go wyręcza, a za to otrzymuje kredyt itd. Sprzedaż kredytów dokonywa się przez zwykły przekaz. Podczas żniw, kiedy każdy malec ma pełno kredytów, ceny przedmiotów idą w górę a pieniądze nagromadzają się w ręku kilku spekulantów. Niektórzy posiadają po kilkaset... Zarząd wychodzi z zasady, że szkoła jest i winna być wstępem do życia i nic nie ma przeciwko temu; wtrąca się ostatnimi

czasy tylko wtedy, gdy zapomocą kupna kredytu ktoś uniknął kary.

L. K.

KONGRES KOLEJOWY W PETERSBURGU.

I.

Olbrzymie rozgałęzienie sieci kolejowych stworzyło wielki odłam życia ekonomiczno-społecznego, którego rozwój i zmiany wymagają już nie przedsięwzięć pojedynczych, dotyczących danego kraju lub prowincyi, lecz wspólnych narad i porozumień międzynarodowych. Owe arterye i żyłki drobne, powiązane na wszystkich obszarach świata cywilizowanego, roznoszą i mieszają najżywotniejsze czynniki, podtrzymujące energię w zbiorowym organizmie ludzkim. Pierwsi belgowie ocenili potrzebę ściślejszej spójni w tym zakresie i staraniem rządu swego urządzili zjazd międzynarodowy przedstawicieli dróg żelaznych w Brukselli r. 1885. Tam właśnie opracowano plan stałych kongresów, powtarzających się co dwa lata i organizowanych pod kierownictwem wydziału, złożonego z dwustu członków, delegowanych od większych towarzystw kolejowych europejskich i amerykańskich. Według przepisów, uczestnikami mogą być przedstawiciele rządowi i delegaci kolei, po dwóch od linii dłuższych nad sto kilometrów, trzech od drogi 500-kilometrowej i następnie po jednym więcej na każde 500 kil. Zebrania rozpadające się na 5 sekcyi, mają na celu wyszukiwanie coraz nowych środków udoskonalenia organizacyi kolejowej, we wszystkich jej zakresach. Drugi zjazd odbył się w Medyolanie r. 1887, trzeci w Paryżu r. 1889, obecny zaś, czwarty z rzędu — w Petersburgu. Udział wzięły następujące państwa: Argentyna, Austro-Węgry, Belgia, Boliwia, Brazylia, Bulgarya, Chili, Chiny, Congo, Dania, Dominikańska Rzeczpospolita, Egipt, Francya, Grecya, Gwatemala, Holandya, Hiszpania, Japonia, Luksemburg, Meksyk, Nikaragua, Peru, Portugalia, Rumunia, Rosya, Stany Zjednoczone, S. Salwador, Serbia, Szwecya z Norwegią, Szwajcarya, Turcya, Venezuella, Wielka-Brytania z koloniami.

Jak widzimy, w tym licznym szeregu niema wcale Niemiec, z powodu iż urzędowym językiem na kongresie jest — francuski. Dwie tylko małe linie niemieckie przysłały swych przedstawicieli. Ogólna liczba delegatów dosięgła 600 osób. Pierwsze sprawozdania przyniosły nam plan zabaw, festynów, bankietów, wycieczek i to z tak obszernym programem, że się dziwić trzeba było, po co wybitni przedstawiciele komunikacyi wszechświatowej odbyli tak wielką podróż dla zjedzenia kilkudziesięciu smacznych obiadów i wypicia kilkuset butelek szampana. Okazało się jednak, iż po za gastronomią i zabawami, rzuconemi na pastwę reporteryi, tkwił program spraw donioslych, których ogrom był nad siły sprawozdawców dziennikarskich. Tem się tłomaczy skwapliwie podawanie przez nich nie tylko miejsc obiadowania, ale nawet jadłospisów. Dopiero gdy kongres dobiegł przed paru tygodniami do końca, okazało się, że pracowano na nim dużo. Rozpatrzono bowiem 40 spraw, zamkniętych w 60-ciu obszernych referatach. Znaczna ich większość dotyczy działów czysto technicznych, więc się zatrzymamy tylko na tych, które mają znaczenie ogólne. Do ważniejszych zaliczyć można referat delegata szwajcarskiego, Heuslera, o sposobach ożywienia ruchu pasażerskiego na kolejach. Zasadniczą myślą autora jest pogodzenie interesu przedsiębiorstw kolejowych z potrzebami i wymaganiami ogółu. Dotychczas były stosowane różne sposoby uprzystępnienia podróży: bilety powrotne, „okolne," z marszrutą wskazaną przez zarząd kolejowy lub ułożoną przez samego pasażera, bilety specyalne do użytku robotników i uczniów, abonamentowe, spacerowe, ustępstwa dla nabywających naraz kilka biletów, wreszcie taryfy strefowe, które Heusler zaleca, jako najpraktyczniejsze i najbardziej ożywiające ruch pasażerski na kolejach żelaznych. Po tym systemie sprzedaż biletów powrotnych z ustępstwem 20—30% również dodatnie dała rezultaty. Zdaniem p. H., zniżenie opłat od przejazdu pasażerów klasy trzeciej największą korzyść przynosi ogółowi i jest sposobem najmniej ryzykownym dla przedsiębiorstw kolejowych. P. Perl, zarządzający wydziałem komunikacyi zagranicznych głównego Towarzystwa kolei ruskich, nie podziela zdania p. Heuslera co do pożytku biletów powrotnych. System ten nie jest ani zbyt tani, ani dogodny. Nie każdy bowiem podróżny wraca do miejscowości, w której kupił bilet, znaczna zaś liczba osób nie może się trzymać ściśle terminu powrotu przez kolej oznaczonego. Dla robotników, poszukujących zarobku w dalszych okolicach tudzież dla urzędników, przenoszonych na inne miejsca, bilety takie nie mają znaczenia. Nie może z nich również korzystać kupiec, wyjeżdżający na czas dłuższy z miejsca stałego pobytu dla zakupu lub rozwiezienia towarów. Prawie nigdy nie wraca on tą drogą, którą wyjechał. Zdaniem p. Perla, taryfy takie dla osób, jakie zastosowano dla przewozu zboża, t. j. stopniowe zniżenie cen w miarę zwiększania się odległości — byłyby najodpowiedniejsze. Pogląd ten podzieliło kilku wybitniejszych przedstawicieli zjazdu (Noblemaire, dyrektor kolei Paryzko-Lugduńskiej, Heurteau, dyrektor kolei Paryzko-Orleańskiej, Duca, dyrektor rumuńskich kolei państwowych, Tegner, dyrektor kolei duńskich).

P. Perl zaznaczył, iż w sferach, od których zależą wszelkie ważne postanowienia, dążność ku reformom taryf pasażerskich z korzyścią dla ogółu podróżnych, coraz silniej się ujawnia w ostatnich czasach i już pierwsze kroki dają się spostrzegać w czynie, mianowicie — badanie warunków obecnych. Referent nie stawia jednak na pierwszym planie potrzeb ogółu; przedsiębiorstwo kolejowe traktuje on ze stanowiska kapitalisty: narzekania pasażerów na brak wszelkich udogodnień w biletach powrotnych, sezonowych itd., na wysokość taryf miejscowych, uważa za bezzasadne: „Przecież trzeba pamiętać o dochodach kolei i nie poświęcać ich dla publiczności, jak to zrobiono w Austryi." P. Perl zapomina, że interes przedsiębiorstw kolejowych jest ściśle związany z wszelkimi innymi odłamami życia ekonomicznego. Ułatwienie komunikacyi, to dziś jeden z pierwszorzędnych warunków ogólnego bytu materyalnego. Różnorodne fale robotników, fachowców agentów, oddanych na usługi wytwórczości, w miarę rozwoju kultury i udoskonaleń technicznych muszą się przerzucać z możliwie największą szybkością i taniością o tysiące kilometrów. Wznieccnie nowych ognisk przemysłowych za pomocą tych armii ruchomych, nowe podboje kultury i techniki, to przecież czynniki wpływające między innemi na ożywienie transportów i ruchu pasażerskiego. Możnowładcy kolejowi powinni więc we własnym interesie uwzględniać potrzeby ogółu. Gdzieindziej pojmowane są one szerzej. W Anglii zasada: „czas — to pieniądz" najbardziej się ujawnia w czynie. Szybkość jazdy kolejowej doszła tam do takiej potęgi, na jaką technika dzisiejsza pozwolić może. Przeszło 670 pociągów kuryerskich przebiega codzień całe państwo w różnych kierunkach i przejeżdża dziennie około 95,000 wiorst, przy średniej szybkości 63 na godzinę. Londyn połączono z Edynburgiem trzema liniami równoległemi (592, 604 i 623 wiorsty długości). Natężenie współzawodnictwa między niemi wychodzi na korzyść publiczności, a szybkość jest stałym wyścigiem. Pociągi kuryerskie przebiegają przestrzeń 600-wiorstową w $8\frac{1}{2}$ godzin z przeciętną szybkością 71 wiorst na godzinę, przyczem postoje na czterech tylko stacyach zabierają ledwie 35 minut. Nadto, po tych liniach przebiega dziennie 26 pociągów kuryerskich z przeciętną szybkością najmniej 60 wiorst na godzinę, przy dłuższych i częstszych postojach. Jesienią roku 1888 pociągi w grze konkurencyjnej przebiegały całą przestrzeń między Londynem a Edynburgiem w $7\frac{1}{4}$ godzin, z przeciętną szybkością 87, a nawet 110, 115 wiorst na godzinę. W innych państwach zachodnio-europejskich szybkość biegu pociągów jest również dość znaczną, chociaż niedosięgająca chyżości angielskich (45—65 wiorst na godzinę). W całej zaś Rosyi dotychczas nie było żadnego pociągu kuryerskiego, którego by szybkość dochodziła do normy najpowolniejszego biegu za granicą. Najszybsze między Odesą i Kijowem, Petersburgiem i Moskwą, Petersburgiem i Wierzbołowem, chodziły 41—$43\frac{1}{2}$ wiorst na godzinę (norma zwykłych pociągów pasażerskich za granicą), na liniach zaś drugorzędnych 32—39 (szybkość pociągów towarowych na Zachodzie). Organ ministeryum komunikacyi (z którego czerpiemy owe dane), zaznacza, iż na niektórych kolejach ruskich pociągi osobowe chodzą 20, 19, 17, a nawet 16 wiorst na godzinę! Zbyteczne byłoby dowodzić, ile taka szybkość przysparza niewygód i kosztów podróżnym. Na mocy atoli wydanych przed paru miesiącami przepisów, prędkość biegu wszystkich pociągów w całem państwie jest powiększona, jakkolwiek nie w takich rozmiarach, ażeby dorównała zagranicznej. Zwiększona szybkość, a zatem i ruch pasażerski, sprzyja reformom taryfowym, więc szczegół powyższy ma doniosłe znaczenie.

Przeciwnicy wszelkich opłat zniżonych i systemu strefowego najczęściej bronią rutyny tem, iż nadzwyczajne ożywienie ruchu pasażerskiego może wywołać zbyt uciążliwe koszty dla zwiększenia taboru. Nie podziela tych uwag Engel, który w dziele swem „Reforma kolejowa" *) zwraca uwagę na brak umiejętnej i skrzętnej gospodarki, co sprawia, iż wiele źródeł dochodu pozostaje niewyzyskanych. Według obliczeń tego autora, tylko 9,56% miejsc w klasie I przeciętnie jest zajętych na kolejach niemieckich, 20,61% w klasie II, 25,06% w klasie III i 30,04% w IV. Na jedno zatem miejsce zajęte w wagonie pasażerskim przypada przeciętnie 230 kilogramów ciężaru martwego. Tabor ruchomy kolei niemieckich obejmuje 12,870 parowozów, 20,892 wagonów osobowych i 235,548 towarowych i bagażowych, ogólnej wartości 1,445 milionów marek. Wagony osobowe zawierają miejsc 976,594,000, z których przeciętnie tylko 24% jest zajętych. Nadto, tabory kolejowe wogóle nieumiejętnie są zużytkowywane. Każda kolej posługuje się wagonami obcymi, których kontrola i zwrot pochłania niepotrzebnie dużo czasu. W Niemczech wagon towarowy bywa w ruchu przeciętnie tylko 29 dni w roku, każdy zaś osobowy tylko 15 dni rocznie. Ten ostatni przebiega przeciętnie około 40 kilometrów na dobę, czyli przeszło 14,000 rocznie. Ponieważ przeciętna szybkość pociągów wynosi około 40 kilometrów na dobę, więc osobowy wagon niemiecki jest czynny zaledwie jedną godzinę na dobę, resztę czasu stoi na liniach zapasowych nieprodukcyjnie. To samo dzieje się z parowozami. Nie lepiej jest zużytkowywany tabor kolejowy w innych państwach. Ktoś mógłby zrobić zarzut, że zużytkowywanie skrzętne wszystkich miejsc zanadto skrępowałoby podróżnych, naraziłoby ich na niewygodę. Nie wiem, czy przeciętny podróżny, szczególnie klasy trzeciej, może być wystawiony na większe niż dzisiaj niewygody. W Rosyi na liniach bardziej ożywionych prawie każdy pociąg jest przepełniony tak dalece, że podróżni muszą nieraz stać między ławka-

*) *Eisenbahnreform.*

mi i na gankach wagonowych. Jednocześnie idzie kilka wagonów, szczególnie klasy II i I, prawie zupełnie pustych. Gdyby więc umiejętnie rozmieszczano pasażerów, gdyby bardziej zwracano uwagę na to, gdzie przeważa ruch trzecioklasowy i zamiast niepotrzebnych wagonów kl. II lub I dodawano więcej III, niktby się nie uskarżał na ciasnotę. Wreszcie zniżone taryfy byłyby wielką pomocą w równomiernem rozmieszczaniu pasażerów: znaczny procent tych, których stać obecnie na klasę trzecią, przeniósłby się do drugiej, a z tej obecni pasażerowie zapełniliby klasę pierwszą, wszędzie więc byłoby przestronnie, pomimo iż ogółem więcej miejsc byłoby zajętych. Wobec tego nagłe zwiększenie taboru (co najbardziej przeraża interesowanych przeciwników reformy), z powodu ożywionego ruchu, stałoby się rzeczą zbyteczną.

Drog.

LIBERUM VETO.

Wielki wypadek, który z rozporządzenia reportera stał się 15 października. — Siła tego nakazu. — Karzeł strofujący olbrzyma. — Wagi sądu. — Ojciec sławy Mascagniego i sieroctwo Moniuszki. — Moltke reklamy. — Szczęście Włoch.—Leoncavallo i jego *Pajace*.— Sara Bernard i jej kurszettel teatralny. — Niebezpieczeństwo ofiar golców wobec cholery. — Melioracye rolne p. Korzybskiego bez końca. — Spadek dla przyszłego wieku.

Dnia 15 października wszystkie gazety warszawskie obwieściły razem, że po nad naszem miastem przeleciały dzikie gęsi. Był to jeden z dokuczliwszych dni w ciągu roku, gdyż ów rój much reporterskich napadł nas odrazu. Co odpędziliśmy którą, w tejże chwili siadła nam na nosie druga. Otwierasz pismo *A* z ciekawością dowiedzenia się nowin i czytasz: „Dziś nad Warszawą przeleciały dzikie gęsi.“ Bierzesz pismo *B*: „Dziś nad Warszawą przeleciały dzikie gęsi.“ Zniecierpliwiony chwytasz pismo *C*: „Dziś nad Warszawą przeleciały dzikie gęsi.“ Miłosierdzia! Zaglądasz do pisma *D* i znajdujesz: „Dziś nad Warszawą przeleciały dzikie gęsi.“ Dosyć! Nie, to gorsze, niż natrętne muchy. Gdyby wam ktoś powiedział sto razy z rzędu, że Kolumb odkrył Amerykę, uczulibyście chęć uduszenia go; cóż dopiero, gdy powtórzy: „dziś nad Warszawą przeleciały dzikie gęsi.“ Zdarza się to w prasie naszej bardzo często, tak często, iż otwierając wieczorem gazety, możesz być prawie pewnym, iż we wszystkich zacznie cię dręczyć jakaś wiadomość. Jeżeli ci tej tortury oszczędzą reporterzy miejscowi, to wyręczą ich zagraniczni; jeżeli nie będziesz musiał przeczytać dziesięć razy, że „nad Warszawą przeleciały dzikie gęsi,“ to przeczytasz tyleż razy, że „Zola chce kupić yacht Maupassanta“ lub że „Mc. Convitte znalazł w gardle kurcząt ziarnka złota.“ Jest to nie tyle dowód złośliwości reportera, który pewnego dnia postanawia udręczyć czytelników wszystkich pism jakiemś doniesieniem, ile objaw jego siły. Jest on dziś bowiem rzeczywistym władcą umysłów. Nie Helmholtze, Du-Bois-Raymondy, Tainy, Tyndale, Tylory, ale Stanbope'y przewodzą światu. Jeżeli więc jednemu z nich nad Wisłą podoba się, ażebyśmy pewnego dnia wszyscy zadarli głowy do góry i upatrywali dzikich gęsi — powinniśmy, musimy to zrobić.

Nawet geniusz otrzymuje dziś koronę z rąk tych prymasów. Niech się narodzi Mozart, Rafael, Kant, każdy będzie do śmierci zerem, jeśli reporter nie postawi przed nim cyfry i nie oznaczy jego wielkości. Nieraz zdaje się, że ten wszechwładny karzeł staje przed nieznanym olbrzymem i mówi do niego z urąganiem:

— I ty myślisz, że wyrosłszy tak wysoko, będziesz wielkim, sławnym, podziwianym bez mojej woli i pomocy? W puszczach amerykańskich istnieją drzewa, o których wierzchołki chmury się rozdzierają, a kto o nich wie? Tymczasem w naszych lasach najzwyklejszą sosnę zna każdy chłop ze wsi. W głębiach ziemi spoczywają ogromne bryły dyamentów — i kto o nich słyszał? Tymczasem drobne brylanciki błyszczą w pierścionkach. A komu pierwsze i drugie zawdzięczają swe imię, swoją wartość? Górnikowi, handlarzowi, jubilerowi, leśniczemu, w każdym razie reporterowi, który je wynalazł, okazał i cenić nauczył. Podobnie z umysłami ludzkimi. Dopóki ja lub ktoś z mojej rzeszy nie wydobędzie ich na wierzch, nie oświetli, nie poleci uwadze ogólnej, chociażby były najpotężniejsze, są niczem i mniej zajmują świat, niż dzika gęś przelatująca nad miastem. A skoro my, my reporterzy zechcemy, ludzkość uderzy czołem przed najzwyklejszem prosięciem a kopnie wzgardliwie geniusz. Bo my jesteśmy jej mistrzami.

Nie ulega to dla mnie żadnej wątpliwości. Od czasu, jak widziałem przekupniów, którzy przekonywali chłopów, że nicowana czapka, którą im sprzedają, jest wspaniałą koroną, a krowa, którą od nich kupowali, jest najmarniejszem cielęciem; od czasu, jak zauważyłem, że we wszystkich dziedzinach życia: w literaturze, sztuce, nauce, przemyśle — wartość człowieka lub rzeczy odmierzają handlarze, literaccy lub artystyczni reporterowie — wiem, że oni trzymają wagi sądu i wyroków.

W jakiemś miasteczku włoskiem narodził się Mascagni. Przypatrywali się chłopcu rodzice i znajomi, przypatrywali się młodzieńcowi nauczyciele i znawcy, zapewne ci i owi dostrzegali w nim zdolności kompozytorskie i chwalili jego utwory, ale pozostawał on ciągle wędrownym grajkiem, wreszcie nagrodzonym autorem *Cavalerii*, o którym mniej wiedzianoby w Europie, niż o Moniuszce, gdyby go nie posadził na swym karku i nie wyniósł na wielką arenę mocarz naszych czasów, przedsiębiorca, impresario, ostatecznie reporter — Sonzogo. Wtedy dopiero Mascagni został sławnym, uwielbianym, osypanym pieniędzmi i wawrzynami. Jeden z korespondentów wiedeńskich do pism warszawskich poświęcił obszerną kartę w swem sprawozdaniu temu znakomitemu Mentorowi muzyka włoskiego i porównał go z Moltkem. Porównanie wcale nieprzesadne. Jak wódz niemiecki, tak i ten wielki strategik reporteryi-reklamy, obmyśliwszy całą kampanię, przechadzał się, niby po polu bitwy, po teatrze wiedeńskim pewny zwycięztwa. Gdyby Mascagni wystąpił ze swą *Cavalerią* sam, jak Mozart z *Don Juanem*, byłby go niewątpliwie spotkał los Mozarta, a nawet go spotkał, gdyż w tym samym Wiedniu, ta sama publiczność i ci sami krytycy wydrwiwali przedtem jego dzieło. Ale teraz był przy nim potężny przedsiębiorca-reporter, który stanął przed tłumem i krzyknął: „Na kolana!“ I tłum ukląkł, a potem wzruszony zaśpiewał: „Wesoły nam dzień dziś nastał.“

Kiedy w Wiedniu wystawiono *Halkę*, krytycy tamtejsi rzekli jednozgodnie: Ładna, ale stara. Szkoda, żeście nam jej nie pokazali dawniej. To znaczy: szkoda, że Moniuszko nie miał, jak Mascagni, swojego Sonzoga, który by z nim wyjechał do stolic europejskich, wziął publiczność za czuby i rzucił mu ją pod nogi. Najnierozsądniejszem (praktycznie) postępowaniem jest nazywanie siły słabością, a najrozumniejszem — nazywanie siły — siłą. Chociażbyśmy więc jak najbardziej lekceważyli reporterów, którzy nam każą wpatrywać się w przelatujące dzikie gęsi, reklamistów, którzy nas olśniewają majestatem ufarbowanego na niebiesko słonia, impresariów, którzy nam wypróżniają kieszenie dla Sary Bernhard, ostatecznie przyznać musimy, że publiczność tak tańczy, jak oni jej grają. Nie zawsze należy się na nich o to gniewać, nie zawsze bowiem ukazują nam w promieniach sławy gęś, niebieskiego słonia lub Sarę Bernard, ale czasem Mascagniego lub Leoncavalla.

Szczęśliwe są Włochy — powiada krytyka muzyczna — że z ich łona wychodzą oryginalne i dzielne talenty muzyczne; a dodać trzeba: i szczęśliwe, że mają znakomitych przedsiębiorców. Bez tego ostatniego szczęścia pierwsze by nie istniało, nie istniałby uwielbiany Mascagni bez Sonzoga a Leoncavallo bez... Nie wiem, czy na tych samych skrzydłach wzniósł się ów drugi świętojański robaczek. To tylko pewne, że nie sam twórca *Pajaców* zarobił na swoją sławę i nie o własnych siłach do nas przyjechał. Ale — jak rzekłem — należy się wdzięczność furmanom, gdy przywożą dostojników, do których słusznie zaliczono Leoncavalla. Jego opera jest piękna i wypływa ze świeżego źródła natchnień. Nie będę jej oceniał i charakteryzował, gdyż czytelnicy mieliby wszelkie prawo zapytać: czy ci nie dosyć tej wirującej mgły krytycznej, jaka zaległa pisma warszawskie po odegraniu na naszej scenie *Pajaców*, że jeszcze chcesz ją na utrapienie nasze powiększać? Więc ją razem — rozdmuchujmy.

Prawie całą drogę swych tryumfów przebiegła na rydwanie ciągnionym przez reporterów słynna Sara Bernard, która przybywa do Warszawy, ażeby nam jeszcze raz pokazać tęskniącą do grobu *Damę kameliową* i inne, ciągle elektrycznością aktorską galwanizowane trupy artystyczne. Poczciwi ludziska, przeczytawszy jej ogłoszony przez impresarya w dziennikach kurscetel miejsc w teatrze, aż krzyknęli z przerażenia: 15 rs. krzesło, 40 rs. loża—gwałtu! I zaraz pomyśleli: jak by to dostać bilet? Bo chuda Sara jest biegła w psychologii, ona zna tajemnice ryb, na które zarzuca sieci, wie że gdyby tym golcom, którzy „przerabiając“ 30,000 rs. tygodniowo w totalizatorze, nie mają za co kupić sobie pończoch i skarpetek, oznaczyła niskie ceny, nie tłoczyliby się do teatru. Tania — powiedzieliby — to widocznie już nie warta widzenia. Skoro zaś każe płacić kilkanaście rubli za jeden wieczór, musi być znakomita. Zwłaszcza gdy z Wiednia nadeszły wiadomości, że Sara grała przy przerzedzonej widowni, że uznano ją za przeżyty zabytek sztuki aktorskiej, za „pamiątkę starej szkoły,“ nie miała ona innego wyjścia, jak tylko zaimponować Warszawie wysokiemi cenami. I według wszelkiego prawdopodobieństwa uda jej się to w zupełności. Niejeden „święty turecki“ sprzeda swoją golizne i ukaże się w teatrze z miną pogardliwego lekceważenia dla tych kilkunastu rubli, które wydał za jeden wieczór, a które pozbawiły go na pół miesiąca obiadów. Niech tam każdy wytrząsa ze swej kieszeni, co w niej ma i czego nie ma, wolna wola; zwracam tylko uwagę szykownym golcom, że wyrzekanie się ciepłej strawy nawet dla Sary Bernard podczas cholery jest ofiarą wielce niehygieniczną i niebezpieczną. Można wprawdzie potem chodzić przez jakiś czas do przytułku na 5 kopiejkowe obiady lub pić ciepłą wodę miętową z kotłów ulicznych, ale to wystarcza tylko biedakom zawodowym, nieprzyzwyczajonym do lepszego jadła. Ostrożnie więc z podziwianiem *Damy kameliowej*, dopóki trwa paskudna choroba, która każe dobrze się karmić.

Do pp. ziemian, zwłaszcza tych, którzy mądrością agronomiczną przodują innym, musimy zanieść gorącą prośbę, ażeby raz zakończyli od wielu lat graną farsę p. t. „Melioracye rolne“ W. Korzybskiego. Może jest ktoś tak szczęśliwy, że pamięta wszystkie akty, sceny i bohaterów tej farsy; moja głowa tego ogromu objąć nie może. Zachowałem w niej tylko ważniejsze wspomnienia: p. Korzybski przed kilku laty napisał rozprawę o ulepszeniu roli zapomocą pewnego systemu orki i rowów, odprowadzających wodę. Rozprawa ta (zdaje mi się, nagrodzona na konkursie) wywołała na-

przód zachwyt, potem szyderstwa i złorzeczenia. Autor wszakże nie dał za wygranę i ogłosił drugie dzieło w tymże przedmiocie. Wrzawa wzmagała się i cichła, a ponieważ reformator uparcie zachwalał swoją metodę jako jedynie zbawienną, więc zaczęto rozsyłać kwestyonaryusze, wyznaczać komisye, spisywać protokóły, drukować wyroki i opinie biegłych, zamieszczać w pismach artykuły itd. Przypuszczaliśmy, że kiedyś cały ten harmider wreszcie się skończy, że „melioracye" p. Korzybskiego, wypróbowane praktycznie, wkrótce wykażą swą wartość. Tymczasem z ostatnich obrad sekcyi rolnej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu widzimy, że proste doświadczenie, niewymagające przecie stuleci, dopiero znajduje się w okresie pierwszych usiłowań, że według jednych metoda p. K. jest nieoceniona, według innych wątpliwa, że kłótnia o nią prawdopodobnie przeniesie się jeszcze na wiek XX. Przypominamy zaś, że chodzi *tylko* o to, czy zorane w pewien sposób bruzdy i wycięte rowy osuszają i poprawiają glebę. Tej jednej, dosyć prostej kwestyi wszyscy światli ziemianie naszego kraju nie zdołali rozstrzygnąć w ciągu takiego czasu, jaki wystarczył samemu Wagnerowi, dyrektorowi stacyi doświadczalnej w Düsseldorfie, do rozwiązania całego szeregu podstawowych zagadnień rolniczych. Przydałoby się tym dzielnym eksperymentatorom mniej pretensyi do czegoś, a więcej wstydu z niczego.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Zboże. Pierwszorzędny produkt spożywczy jest przedmiotem uwagi powszechnej. Dokąd skierowywać ziarno na sprzedaż, jak przeciwdziałać zastojowi przewlekłemu, to są pytania na dobie, trudne do rozstrzygnięcia. „Trudność zbytu zboża — mówią *Peterb. Wied.* — stanowi jeden z objawów powtarzających się każdego urodzajniejszego roku, lecz nigdy nie występował w tak potwornych, jak r. b. rozmiarach. Można to nazwać pewnego rodzaju sztuczką, gdyż, jak wiadomo, cały zapas zboża ruskiego zawsze znajduje w rezultacie odpływ za granicę i będzie to samo niezawodnie w r. b. Zastój obecny jest tylko naciskiem wymierzonym na wytwórców ruskich przez handlarzów zagranicznych i krajowych, działających może w pewnej z sobą zmowie, w celu zniżenia ceny." Właściwie zatem rok urodzajny jest dla wytwórców gorszym, niż nieurodzajny. Wobec tego dają się słyszeć natarczywe nawoływania o urządzenie wszędzie, gdzie tylko można, składów zbożowych, które dawałyby rolnikom możność otrzymywania połowy, a w ostateczným razie trzeciej części wartości towaru. Stary to projekt, ciągle odświeżany przez prasę i ciągle poruszany w różnych instytucyach rolniczych; ale jakoś dotąd pokutuje on na papierze i w pustych słowach, pomimo iż w czynie wydałby niezawodnie pożądane rezultaty dla rolników, a spożywców uwolniłby poniekąd od płacenia haraczu na rzecz spekulantów i pośredników.

Przemysł domowy. Staraniem p. Malinowskiego wybrano delegacyę sekcyi rolnej warszawskiego Towarzystwa przemysłu i handlu w sprawie podniesienia przemysłu domowego. Owoce zabiegów w tym względzie są już trochę widoczne. Zebrano fundusz na wykształcenie kilku młodych ludzi w tkactwie lekkiem i sukiennictwie tudzież garncarstwie. Do kraju sprowadzeni będą specyalnie wykształceni w danem rzemiośle instruktorowie dla wskazywania włościanom sposobów ulepszonego tkactwa, garncarstwa itd. Jednocześnie sprowadzone będą warsztaty ulepszone. Kandydatów, którzy mają być wysłani za granicę dla zaznajomienia się z różnemi gałęziami przemysłu domowego, jest na początek czterech: dwóch tkaczów, jeden sukiennik i garncarz. Do rozwoju przemysłu drobnego chce się przyczynić przedsiębiorca p. Jan Świdziński, który obeznany z koszykarstwem galanteryjnem, postanowił otworzyć w Warszawie szkołę koszykarską.

Spekulacya. Cholera stała się dla przekupniów i przedsiębiorców źródłem nowego dochodu. Akcyonaryusze łazienek parowych na Zjeździe (dyskretnie nazwanych w *Kuryerze warsz.* „jednym z zakładów kąpielowych"), korzystając z napływu gości, podnieśli cenę łaźni z 4 do 6 kop. od osoby; jednocześnie skasowali zupełnie bilety abonamentowe do wanien o cenach niższych. Handlarze i dostarczyciele mięty pieprzowej wobec wielkiego jej zapotrzebowania u nas i za granicą, podnieśli znacznie ceny. Jest to atoli zwyczajne zjawisko ekonomiczne, uprawnione w handlu. Nie na tem jednak koniec. Przekupnie zamiast mięty pieprzowej rozpowszechniają w handlu mieszaninę, złożoną z mięty wodnej, leśnej i zielonej, skropionej olejkiem dla zapachu. Trzeci znamienny przykład: Przed kilku tygodniami jakiś lekarz w Moskwie, chcąc się przekonać o rzetelności aptek, kupił prawie we wszystkich po butelce nieoczyszczonego kwasu karbolowego. Okazało się, że tylko w jednej był karbol prawdziwy, we wszystkich zaś mieszanina, niemająca żadnego znaczenia w dezinfekcyi. Ileż to innych nadużyć tego rodzaju nie zdołano jeszcze wykryć!

Taryfy. W tych dniach na posiedzeniu sekcyi rolnej warszawskiego Towarzystwa przemysłu i handlu p. Dmochowski poruszył sprawę taryf kolejowych na przewóz okowity. Twierdzi on, iż obecne opłaty za przewóz tego produktu są również niekorzystne dla przemysłu gorzelniczego w Królestwie Polskiem, jak taryfy zbożowe. P. D. prosi więc, ażeby sekcya zażądała od delegacyi taryfowej uwzględnienia tej ważnej sprawy w memoryale. Sekcya wniosek ten przyjęła i wybrała p. Dmochowskiego do delegacyi taryfowej, jako rzecznika w kwestyi przemysłu wódczanego.

Fabryka jedwabiu. W Albertynie (pow. słonimski, gub. grodzieńska), majątku p. Leona Pusłowskiego, towarzystwo francuskie zakłada na wielką skalę przędzalnię jedwabiu. Przedsiębiorcy zagraniczni zdołali dostatecznie zbadać ten zakątek i przekonali się, że mogą stamtąd ciągnąć piękną dywidendę. Kapitał zakładowy wynosi dwa miliony rubli. Fabryka zatrudniać będzie około tysiąca robotników.

— Wytwórcy zakładów górniczych południowych wnieśli do ministeryum skarbu podanie o ustanowienie na przewóz żelaza ruskiego z południa takiej taryfy, jakaby pozwoliłaby im w Moskwie i Niższym Nowogrodzie współzawodniczyć z produktem okręgu sosnowickiego.

— Komisya opracowująca przepisy dla zapobieżenia podrabianiu firm handlowych i przemysłowych projektuje zastosowanie kar pieniężnych od 500 do 2,000 rs. lub aresztu więziennego od sześciu miesięcy do dwóch lat, z pozbawieniem czasowo albo zupełnie prawa prowadzenia handlu.

— Komitety giełdowe zbierają obecnie wzory różnych produkcyi przemysłu miejscowego dla przesłania do miejsc stałych wystaw przemysłu ruskiego w Japonii.

— Na wszystkich kolejach żelaznych wprowadzona zostaje nowa taryfa na przewóz soli warzelnej.

— Dla rozwoju przemysłu drobnego ministeryum dóbr państwa tworzy posady techników tej gałęzi produkcyi.

— Rada państwa zatwierdziła projekt komisyi specyalnej w sprawie kredytu na zakup maszyn i narzędzi rolniczych wyrobionych przez fabrykantów ruskich z materyału krajowego.

Z rynku.

Cukier. Na rynku petersburskim ceny mączki krystalicznej uległy zniżce skutkiem nadesłanych z Kijowa wiadomości niepomyślnych dla handlu tym produktem. Żądano 5,50, nieliczni zaś nabywcy chcą płacić 5,45. W Warszawie ukazał się w handlu cukier krystaliczny w drobnych grudkach, tańszy o $1^1/_2$ kop. na funcie od zwyczajnego.

Jarmarki. Z polecenia władzy w obrębie gub. kieleckiej jarmark w Żarnowcu (pow. olkuski), przypadający w dniu 16 października, odłożono do 17 grudnia r. b.; nie odbędą się zaś zupełnie jarmarki r. b. w Pińczowie, Opatowcu i Wiślicy, w Jędrzejowie otwarty będzie 1 grudnia.

Skóry. Wobec wielkiego dowozu bydła rogatego, skóry wołowe na targu praskim spadły nizko w cenie; płacono po 5,50 do 11,50 za sztukę, czyli o 30—50 k. taniej niż przed paru tygodniami. Sztuki duże i ciężkie są więcej poszukiwane, zniżka zaś na cenach tych gatunków jest mniejsza. Na wagę płacono za funt skóry nieczyszczonej z rogami w sztukach lekkich 60—70-funtowych 11 kop., 70—80-funtowych 12 kop., w cięższych $12^1/_2$ kop. Oczyszczoną — o 1 kop. na funcie drożej. Skórki cielęce drogie, warszawskich brak, za prowincyonalne płacą rs. 20 kop. 50 do rs. 21 za pud, przy dobrym pokupie. Skóry końskie 3,50—4,50 za sztukę.

Węgiel kamienny wielki ma popyt. Zapotrzebowania fabryczne niezmienione, wywozowe znaczne. Płacono za wagon na stacyi towarowej kolei Wiedeńskiej rs. 78—85 bez rozwózki.

Okowita. W Warszawie z dnia 19 b. m. Hurtowa wład. 100° brutto z potr. 2% 11,04, netto bez potrąc. 10,83, wład. 78° brutto z potr. 8,61 netto bez potr. 8,44. Szynkowa wład. 100° br. z potr. 2% 11,19, n. bez potr. 10,98; w. 78° br. z potr. 8,72, net. bez potr. 8,56. Ceny warsz. Tow. rektyfikacyjnego: na miejscu za wiadro 100° 10 rs. 75 kop.

Targi warszawskie. Zbożowy *na placu Witkowskiego* 18 b. m. Pszenica wyborowa: płacono 6,35—6,45 (korzec), biała 6,30, pstra i pospolita nie miały pokupu. Żyto nabywano wyłącznie wyborowe po 4,80 do 5 rs. Owies po 2,85—3,15. Za pud siana płacono 40—45 k. za pud słomy 28—30 kop. *Na Pradze.* Żyto miało powodzenie, za wyborowe płacono 87—88 kop. (pud), średnie 83—85, pospolite 79—82. Owies jedynie w wyborowych gatunkach był poszukiwany: płacono 78—85 kop. Grykę również poszukiwano po 90—95 kop. Zapasy kaszy jaglanej znaczne, zapotrzebowanie małe, sprzedawano po 98—106 kop. *W magazynach tranzytowych.* Żyto 78—87, jęczmień 75—92, owies 70—92, kasza jaglana 98—110, gryka 80—93.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Dla dopomożenia ludności dotkniętej nieurodzajem r. z., w Królestwie Polskiem ułatwiono, jak wiadomo, zarobkowanie około urządzenia nowych dróg bitych pierwszego rzędu i naprawy dawniejszych sposobem gospodarczym. Metoda taka wydała pomyślne rezultaty, zarówno dla włościan, jak i dla funduszów gubernialnych drogowych, które nie są wyczerpywane na rzecz przedsiębiorców. Wobec tego zamierzono prowadzić roboty sposobem gospodarczym we wszystkich bez wyjątku guberniach Królestwa, ku czemu zbierane są obecnie szczegóły i obliczenia dla ministeryum spraw wewnętrznych.

— Na zasadzie postanowienia rady państwa, sprawę zniesienia stanu rzemieślniczego, jako klasy oddzielnej, związano z zamierzoną przez ministeryum skarbu rewizyą wszystkich przepisów, dotyczących ustaw fabrycznych i rzemieślniczych.

— W niektórych fabrykach i gospodarstwach rolnych istnieje zwyczaj dokonywania wypłat markami lub kwitkami, które często w zbyt długich terminach są wymieniane na gotówkę. Ponieważ taka forma wypłaty przynosi uszczerbek robotnikowi, więc ministeryum spraw wewnętrznych rozesłało wszystkim gubernatorom cyrkularz z żądaniem, ażeby na taki zwyczaj nigdzie nie pozwalano. Nadto, w niedalekiej przyszłości będą opracowane nowe przepisy, pociągające fabrykantów i przedsiębiorców do odpowiedzialności za zwłokę w wypłatach.

— Z powodu ustania zajęć w polu i nadejścia terminu zawieszenia robót budowlanych w Warszawie, jest spodziewany napływ do miasta osób, które nie będą mogły znaleźć odpowiedniego zarobku. Ponieważ tacy ludzie zwiększają proletaryat, więc, według obowiązujących przepisów, wszyscy przybysze, nie mogący wykazać sposobu utrzymania, będą transportem z Warszawy wysyłani. Do tego rodzaju zaliczono służących obojga płci, którzy po upływie miesiąca nie znajdą pracy.

— Wobec ponownego nieurodzaju, dotykającego niektóre gubernie, ministeryum spraw wewnętrznych poruszyło kwestyę utrzymania w mocy dotychczasowych taryf zniżonych od przewozu mieszkańców tych gubernii. Zapatrywania tego nie podzieliło wszakże ministeryum skarbu, opierając odmowę na tem, iż taryfy zni-

żone nie przynoszą istotnej korzyści, dając tylko powód do licznych nadużyć.

— Spis cudzoziemców, zamieszkałych w granicach państwa, odbędzie się na zasadach następujących: 1) osadnicy cudzoziemcy, zarówno poddani ruscy, jak i zagraniczni, zamieszkali w general-gubernatorstwach: kijowskiem, wileńskiem, warszawskiem i b. odeskiem, obowiązani będą dawać właściwe wyjaśnienia i przedstawiać żądane dokumenty. 2) Przesiedlający się z jednej do innej miejscowości powinni w ciągu tygodnia zameldować się osobiście w gminie i przedstawić właściwe dokumenty; ten sam przepis obowiązuje w miasteczkach i osadach. 3) Właściciele majątków i ich zarządzający tudzież dzierżawcy przy oddaniu gruntów w jakiejkolwiek formie osobom pochodzenia cudzoziemskiego, obowiązani są również w ciągu tygodnia zameldować o tem władzy właściwej. 4) Niespełniający powyższego przepisu podlegać będą karze pieniężnej w kwocie rs. 500 lub aresztowi trzymiesięcznemu za każde przekroczenie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zwróciło się do wszystkich gubernatorów z zapytaniem, jakie są środki wyżywienia miejscowej ludności i w jakim stopniu pomoc skarbu będzie potrzebą.

— W Krakowie klub artystów malarzy i rzeźbiarzy ponownie zawiązano.

Szkoły. Ministeryum oświaty zawiadomiło gubernatorów, iż uważa za konieczne, ażeby na wszystkich obradach nad sprawami szkolnemi brali udział w charakterze doradczym miejscowi dyrektorowie szkół ludowych lub inni członkowie zarządów naukowych.

— P. Marya Chełmońska, żona artysty-malarza, otworzyła w Warszawie szkołę froeblowską przy ulicy Ceglanej.

— W gimnazyum włocławskiem opłatę podniesiono do 50 rs. rocznie.

— Z początkiem roku szkolnego 1892/3 opłatę we wszystkich klasach progimnazyum żeńskiego w Zamościu podwyższono z 16 do 30 rs. rocznie.

— Ostatecznie lekcye w Lublinie rozpoczną się 22 bież. mies.

— Nauczycielem języka polskiego w 1-em progimnazyum męzkiem w Warszawie mianowano p. Józefa Alichniewicza, wychowańca uniwersytetu tutejszego.

— Rada Instytutu gospodarstwa leśnego w Nowej-Aleksandryi zawiadamia, iż egzaminy wstępne kandydatów z języka ruskiego, fizyki, algebry, geometryi i trygonometryi zaczną się d. 22 b. m. Do zakładu mogą się zapisywać kandydaci, posiadający świadectwa dojrzałości z gimnazyów, oraz ci, którzy ukończyli kurs w szkołach realnych z klasą uzupełniającą i odpowiednie zakłady średnie. Na I kurs będzie przyjętych 60-u studentów.

Zdrowie publiczne. Od chwili zjawienia się cholery w Warszawie do dn. 18 b. m. zachorowało ogółem 310 osób, wyzdrowiało 185, zmarło 50, pozostało 75.

— Komisya złożona ze specyalistów doktorów, chemików i techników, po zbadaniu sprawy dezinfekowania ścieków, wypuszczanych do Wisły, oświadczyła, iż z powodu szybkości prądu czynność ta jest niemożebną.

— Z rozporządzenia p. prezydenta materace z ławek tramwajowych, dla przeciwdziałania zagnieżdżaniu się zarazków usunięto.

— Kilku lekarzy warszawskich, należących do komisyi sanitarnych, orzekło, że używanie pompek ręcznych w zakładach restauracyjnych dla toczenia piwa z antałków do szklanek, jest wielce dla zdrowia pijących szkodliwe.

— W Wyszogrodzie (gub. płocka) od 10 do 13 października zachorowało na cholerę osób 28, zmarło 7.

— W tych dniach rozpoczęto roboty około powiększenia szpitala ewangelickiego w Warszawie.

— W Turkiestanie cholera wygasła. W okręgu zakaspijskim zniesiono kordon na granicy Persyi i Afganistanu i dozwolono przywozu towarów, oprócz szmat i starej odzieży.

— Ruskie Towarzystwo ochrony zdrowia publicznego urządza na wiosnę w Petersburgu pierwszą wystawę hygieniczną. Do sekcyi IV wejdzie oddział hygieny szkolnej, obejmujący grupy: 1) hygiena wykładu i pomoce naukowe, 2) badania młodzieży lekarsko-sanitarne, 3) choroby szkolne i ich profilaktyka, 4) literatura w przedmiocie hygieny i wychowania.

Sprawy kolejowe. Nowomianowany naczelnik ruchu kolei Nadwiślańskiej, p. Wierchowskij, objął już obowiązki służbowe.

— Dotychczasowy naczelnik wydziału mechanicznego kolei Nadwiślańskiej, inżenier-technolog p. Maciej Paszkowski, opuścił służbę i wyjechał do Kaługi, gdzie zajmie także stanowisko no kolei Syzrańsko Wiaziemskiej.

— Z dn. 1 czerwca r. p. skarb państwa przystąpi do stopniowego wykupu kolei Południowo-Zachodnich.

Bibliografia. S. M. Rzętkowski *Z pomiędzy ludzi*, szkice z natury, str. 271, Warsz., Paprocki, rs. 1 k. 20.

— W. Zagórski, *Szalone głowy* powieść, str. 249, Warszawa, „Romans i powieść."

— M. Heilpern, *Tajemnice przyrody*, II Jak żyją rośliny (z rysunkami), str. 492, Warsz., Paprocki, rs. 2.

— *Kalendarz powszechny* na r. 1893, Warszawa, Paprocki, kop. 20.

— Dr. E. Lucas, *Warzywnictwo*, tłom. L. Dembowski, uzupełnił L. C. str. 328, Warszawa, Senewald.

Zawiadomienie. Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona, przyznane zostaną w r. 1893 dwie nagrody pieniężne.

Jedna za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi) ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1889, 90, 91 i 92; druga za takąż pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych.

Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie: poddanym ruskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet zarządzający kasą, własnem staraniem usiłuje zebrać, dla poddania ocenie, prace ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknienia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu (Bank Handlowy) lub na ręce jednego z członków komitetu przed końcem lutego 1893 roku.

Prezes Komitetu *Dr. Ignacy Baranowski.*
Członek Komitetu, sekretarz: *Dr. Konrad Dobrski.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 9 Октября 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.